



UUK

TERRY PRATCHETT

NOMÓW KSIĘGA KOPANIA

Księga druga
sagi o nomach



SPIS TREŚCI

| | |
|-------------------------------|-----|
| SPIS TREŚCI. | 2 |
| Na początku. | 3 |
| Rozdział pierwszy | 6 |
| Rozdział drugi | 12 |
| Rozdział trzeci | 18 |
| Rozdział czwarty | 23 |
| Rozdział piąty | 26 |
| Rozdział szósty | 36 |
| Rozdział siódmy. | 40 |
| Rozdział ósmy | 47 |
| Rozdział dziewiąty. | 57 |
| Rozdział dziesiąty | 62 |
| Rozdział jedenasty | 70 |
| Rozdział dwunasty. | 80 |
| Rozdział trzynasty | 89 |
| Rozdział czternasty | 99 |
| Rozdział piętnasty | 108 |

Na początku...

... Arnold Bros (zał. 1905) stworzył Sklep.

Przynajmniej tak wierzyły tysiące nomów, przez wiele pokoleń¹ żyjących pod podłogą owego starego i szacownego domu towarowego Arnolda Brosa (zał. 1905).

Sklep stał się ich światem, światem mającym ściany i dach.

Wiatr i deszcz należały do starych legend, podobnie jak dzień i noc. Rzeczywistością były zraszacze, klimatyzacja, Otwarcie czy Zamknięcie. Pory roku zaś były następujące: Styczniowa Wyprzedaż, Wskocz w Wiosenną Modę, Letnia Przepena i Świąteczny Kiermasz. Pod przewodnictwem opata i zakonu Piśmieniych czcili — choć nie nachalnie, żeby mu nie przeszkadzać, a sobie życia nie utrudniać — Arnolda Brosa (zał. 1905), który, jak wierzyli, stworzył wszystko, to jest: Sklep i to, co zawierał.

Niektóre rody wzbogaciły się i przyjęły nazwiska (mniej lub więcej, ma się rozumieć) od działów, pod którymi żyły — na przykład: Del Ikates, de Pasmanterii czy Żelaznotowarowi.

Aż pewnego dnia do Sklepu przyjechali w sklepowej ciężarówce ostatni, żyjący na zewnątrz, z ich gatunku. Aż za dobrze wiedzieli, co to takiego wiatr i deszcz — prawdę mówiąc, mieli ich serdecznie dość. Był wśród nich Masklin — łowca szczurów, były Babka Morkie i Grimma, choć w teorii się nie liczyły: były przecież kobietami. No i naturalnie była Rzecz.

Czym dokładnie jest, nikt tak naprawdę nie rozumiał — przekazywano ją z pokolenia na pokolenie i uważano, że jest ważna. Dopiero w Sklepie, gdy znalazła się w pobliżu elektryczności, zaczęła mówić. Na początek oświadczyła, że myśli, jest maszyną i pochodzi ze statku, którym tysiące lat temu przyleciały tu nomy z odległego Sklepu albo być może gwiazdy — interpretacje były rozmaite. A potem powiedziała, że słyszy, co mówi elektryczność, mianowicie, że za trzy tygodnie Sklep ma zostać zniszczony.

Masklin zaproponował, żeby wszyscy opuścili Sklep w ciężarówce. Po czym, ku swemu szczeremu zdumieniu, stwierdził, że samo obmyślenie, jak kierować

¹Nomich pokoleń oczywiście — nomy żyją dziesięć razy szybciej niż ludzie i dziesięć lat to dla nich całe życie.

olbrzymim pojazdem, stanowi najłatwiejszą część zadania — najtrudniej przekonać innych, że potrafią to zrobić.

Masklin nie był przywódcą, choć w skrytości ducha chciałby nim być — przywódca nic nie robi, tylko zadziera nosa i czasami (ale rzadko) dokonuje bohaterskich wyczynów. On tymczasem bez ustanku musiał przekonywać, kłócić się, a nieraz nawet trochę kłamać, by postawić na swoim. Dopiero po pewnym czasie stwierdził, że wszystko idzie znacznie łatwiej, jeśli inni robią rzeczy, co do których są przekonani, że sami je wymyślili. Najtrudniej było właśnie o nowe pomysły, a potrzebowali ich naprawdę dużo. Przede wszystkim musieli się nauczyć pracować razem. No i czytać. Oraz przyznać, że kobiety są prawie tak inteligentne jak mężczyźni (choć wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę to nienormalne i że nie należy ich przemęczać myśleniem, bo im się mózgi przegrzeją).

W końcu jakoś się udało — wyjechali ze Sklepu tuż przed zagadkową eksplozją, po której spalił się doszczętnie, i prawie bez zniszczeń, no, przynajmniej bez strat, pojechali przed siebie. Znaleźli opuszczony kamieniołom, wtulony w ustronne wzgórze, i zamieszkali w nim. Wiedzieli, że teraz już wszystko będzie w porządku. Że zacznie się Nowy Wspaniały Świt (tak słyszeli).

Naturalnie, większość nigdy nie widziała na oczy świtu, wspaniałego czy jakiegokolwiek innego, a ci, co widzieli, wiedzieli aż za dobrze, że wspaniałe świty zazwyczaj poprzedzają ponure dni. Czasem z gradobiciem.

Minęło sześć miesięcy...

* * *

Jest to opowieść o zimie.

I o wielkiej bitwie.

I o obudzeniu Jekuba, Smoka ze Wzgórza, o wielkich oczach, donośnym głosie i potężnych zębach.

Ale to bynajmniej nie jest koniec opowieści.

Ani też jej początek.

* * *

Wiało, i to potwornie. Wiatr przypominał przecinającą okolicę ścianę, pod której naporem małe drzewka gięły się do samej ziemi, a duże drzewa pękały. Ostatnie jesienne liście puły powietrze niczym zapomniane kule.

Kupa śmieci przy starym żwirowisku była całkowicie opuszczona — nawet mewy, zazwyczaj patrolujące okolicę, gdzieś się schroniły. Wiatr wziął się na nią, jakby miał coś osobistego do starych butelek po detergentach albo dziurawych butów. Puszki klekotały przeraźliwie, a lżejsze śmieci, nie mając innego wyjścia, odlatywały, dołączając do powietrznego zamieszania.

Wiatr wciąż grzebał w śmieciach. Przez chwilę szeleścił papierami, potem je porwał, aż w końcu dokopał się do gazet. Szczególnie musiała go zirytować jedna strona, dość mocno wciśnięta z boku, gdyż dmuchnął solidnie i w końcu ją wydarł spod kamienia. Nie całą, co prawda, ale i tak zadowolony porwał ją ze sobą.

Kartka leciała niczym spory ptak o zaokrąglonych skrzydłach, aż w końcu wpadła na ogrodzenie. Wiatr dmuchnął potężniej, przedarł ją na pół i to, co urwał, pogonił przez pole. Kartka nabierała właśnie szybkości, gdy nagle przed nią wyrósł krzak i złapał ją niczym żaba muchę.

Rozdział pierwszy

I. I nastala wonczas pora Dziwów: owóz Powietrze ostrym się stało, a Ciepło zeń znikać poczęło, aż dnia pewnego kałuże twardymi i zimnymi się stały.

II. A zasię nomy pojęcia nie miały i pytały się wzajem: „Cóż to takiego?”

Księga nomów, Kamieniołomy, w. I-II

— Zima — oznajmił stanowczo Masklin. — To się nazywa zima.

Opat Gurder spojrział na niego z wyrzutem.

— Ale nigdy nie mówiłeś, że ona tak wygląda — oświadczył oskarżycielsko. — I że jest taka zimna.

— To ma być zimno? — zdziwiła się Babka Morkie. — Poczekaj, aż się zrobi naprawdę zimno: jak będzie śnieg i mróz, a woda będzie spadać z nieba w kawałkach. — Spojrzała nań triumfująco. — Co wtedy powiesz, hę?

Widać było, że jest naprawdę zadowolona — Babkę Morkie zawsze cieszyły kłeski, prawdopodobnie właśnie oczekiwanie na kolejne nieprzyjemności utrzymywało ją przy życiu.

— Nie musisz nas straszyć, nie jesteśmy dziećmi — westchnął Gurder. — I potrafimy czytać, jakbyś zapomniała. Wiemy, co to takiego śnieg.

— Zgadza się — przytaknął Dorcas. — Gdy się zbliżał Kiermasz Świąteczny, zawsze w Sklepie pojawiały się kartki ze śniegiem. Jest błyszczący.

— Nie zapominaj o drozdach — dodał Gurder.

— Noo... w zimie jest jeszcze trochę takich różnych... — zaczął Masklin, ale przerwał, widząc niecierpliwy gest Dorcasa.

— Nie sądzę, abyśmy musieli się martwić — oznajmił Dorcas. — Jesteśmy dobrze wkopani, zapasy żywności są duże, a jakby jej zabrakło, wiemy, skąd wziąć więcej. Jeśli nikt nie ma nic więcej do powiedzenia, to może byśmy zamknęli zebranie?

* * *

Wszystko szło dobrze. A przynajmniej nie szło tak całkiem źle.

Naturalnie, ciągle trwały waśnie, a i kłótni nie brakowało, ale taka już była natura nomów. Dlatego też zresztą powołali Radę, co jak dotąd sprawdzało się w praktyce. Nomy bowiem lubiły się kłócić. Rada Kierowców zapewniała, że na kłótni się skończy i do rękoczynów nie dojdzie.

Najzabawniejsze było to, że w Sklepie o ważniejszych rzeczach decydowały rody, tu zaś, w kamieniołomie, nie było sklepowych działów, toteż familie wymieszały się dość znacznie. Nie zmieniało to niemal instynktownej potrzeby zachowania hierarchii — dla nomów świat zawsze był podzielony na tych, którzy mówią, co ma być zrobione, i na tych, którzy to robią. Naturalne więc było, że muszą pojawić się nowi przywódcy.

Byli to Kierowcy.

Wszystkich biorących udział w Długiej Jeździe podzielić bowiem można było na dwie kategorie: mniej liczną, która przebywała w kabinie — to właśnie byli Kierowcy — oraz znacznie liczniejszą, która podróżowała w reszcie ciężarówki — byli to po prostu Pasażerowie. Nie był to naturalnie żaden oficjalny podział, nikt nawet o nim głośno nie mówił, ale wszyscy go akceptowali. Większość przyjęła, że skoro ktoś potrafi pokierować ciężarówką od Sklepu do kamieniołomu, generalnie jest osobnikiem, który wie, co robi.

Prawdę mówiąc, bycie Kierowcą niekoniecznie było zabawne, choć miało także swoje plusy. Na przykład rok temu Masklin musiał samotnie polować całymi dniami, teraz zaś polował, kiedy miał na to ochotę. Młode pokolenie sklepowych nomów zajęło się myślistwem z ochotą i najwyraźniej uznało, że Kierowcy takie zajęcie na stałe nie przystoi. Co do jedzenia, to oprócz polowań stale wydobywali ziemniaki z kopalni na pobliskim polu, na drugim zaś zebrali imponującą ilość kukurydzy (i to już po tym, gdy ludzie przejechali przez nie swymi maszynami). Masklin co prawda wolałby, żeby sami coś uprawiali, ale wychodziło, że nie mają talentu do upraw na skalistym podłożu. Natomiast mieli co jeść, a to było najważniejsze.

Poza tym wszyscy zaczęli się zadomawiać.

Masklin rad nierad wrócił do swojego zagłębienia pod jednym z opuszczonych baraków i po namyśle wyjął z dziury w ścianie Rzecz. Nie świeciło się na niej żadne światło — dopóki nie znalazła się w pobliżu przewodów elektrycznych, dopóty nie mogła świecić czy mówić, wyjaśniła mu to w Sklepie dość dokładnie. Prąd w kamieniołomie był — Dorcas znalazł go, pociągnął przewody i mieli światło, ale Masklin nie zaniósł tam Rzeczy. Czarny sześcian miał bowiem zwyczaj mówić w sposób, który koniec końców zawsze go denerwował.

Zresztą, nawet pozbawiony przez jakiś czas elektryczności, mógł słuchać. Tego Masklin był pewien.

— Stary Torrit zmarł w zeszłym tygodniu — powiedział po chwili. — Trochę nam było smutno, ale był przecież bardzo stary. No i po prostu umarł. . . To znaczy nic go najpierw nie zjadło ani nie przejechało, i w ogóle nic z tych rzeczy. . .

Nim trafili do Sklepu, Masklin i jego grupa żyli w sąsiedztwie autostrady i pól pełnych różnych stworzeń mających zawsze apetyt na świeżego noma, toteż śmierć z prostego powodu, że przestawało się żyć, a nie w wyniku wypadku, była dla niego czymś nowym.

— Więc go pochowaliśmy na skraju pola z ziemniakami tak głęboko, żeby go nie wyorali — ciągnął. — Ci ze Sklepu nie mają żadnej smykałki do pogrzebu. Myśleli, że zakwitnie, bo im się z nasionami pomyliło. O uprawianiu też nie mają bladego pojęcia. To wszystko przez życie w Sklepie, tak po mojemu. Wszystko jest dla nich nowe i ciągle narzekają. Najbardziej na to, że jedzenie jest z pola i brudne, a nie z półek i zapakowane: twierdzą, że to nienaturalne. I na deszcz, bo kojarzy im się z awarią zraszaczy. Tak sobie myślę, że oni myślą, że cały świat jest po prostu wielkim Sklepem. . .

Zerknął na nie reagujący sześcian, zastanawiając się, co by tu jeszcze powiedzieć.

— W każdym razie wyszło, że najstarsza teraz jest Babka Morkie, czyli że ma prawo do miejsca w Radzie, chociaż jest kobietą. Gurder się strasznie sprzeciwiał, więc mu powiedzieliśmy, żeby sam to powiedział jej, nie nam, i od razu mu przeszło. No i Babka Morkie jest w Radzie. . . — Przyjrzał się swoim paznokciom. Rzecz miała irytujący zwyczaj słuchania w całkowitym milczeniu. — Wszyscy się martwią zimą. . . a mamy masę ziemniaków i kukurydzy, a tu, na dole, jest całkiem ciepło. . . Oni mówią, że jak był Świąteczny Kiermasz w Sklepie, to było też takie coś, co się nazywało Gwiazdor. Mam nadzieję, że on tu za nami nie przyjdzie, co prawda miejsca jest dużo, ale wolimy mieszkać sami, on niech sobie gniazduje gdzie indziej. — W skupieniu podrapał się za uchem i dodał: — Wszystko właściwie idzie dobrze. . . a wiesz, co to znaczy? To znaczy, że coś niedobrego czai się obok, tylko że się o tym jeszcze nie wie. Zawsze tak jest. Im dłużej jest dobrze, tym większe jest to coś. — Czarny sześcian wyglądał, jakby mu współczuł. — Wszyscy mówią, że się za dużo martwię. Wątpię, żeby się można było za dużo martwić. . . Wydaje mi się, że to by były wszystkie nowości. . .

I umieścił Rzec w jej dziurze w ścianie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej o Grimmie, ale to w końcu była sprawa osobista. Wszystko przez te książki — nie powinien był jej pozwolić nauczyć się czytać, a tak napchała sobie głowę głupotami. Gurder miał jednak rację: babskie mózgi się przegrzewają, a mózg Grimmy musiał się ostatnio zago-tować.

No bo tak: poszedł do niej i grzecznie powiedział, że skoro wszyscy się zadamawiają, to czas, żeby się pobrali. Opat coś tam pomruczy, będzie zabawa i będzie oficjalnie.

A ona mu powiedziała, że nie jest pewna.

Nieco się zdziwił, ale jej powiedział, że to tak nie działa: że jak on mówi, to ona się zgadza i sprawa załatwiona. Tak było i jest.

Na co ona mu powiedziała, że było, ale już nie jest!

Poszedł na skargę do Babki Morkie, jako zagorzałej zwolenniczki tradycji, i powiedział jej, że Grimma nie chce go słuchać.

Babka Morkie mu powiedziała, że bardzo ją to cieszy i dotąd żałuje, że tak nie postąpiła, gdy była w jej wieku.

Toż to przecież nomie pojęcie przechodzi!

Potem poszedł się poskarżyć Gurderowi. Ten wreszcie przyznał mu rację, ale gdy usłyszał, że ma to samo powtórzyć Grimmie (jest, że one powinny słuchać onych), to oświadczył, że ona ma charakterek i może lepiej byłoby trochę odczekać, zwłaszcza w tych czasach zmian. . .

Czasy zmian. Pewnie, że czas było na zmiany — Masklin sam większość z nich spowodował. Musiał, bo inaczej w żaden sposób by nie opuścili Sklepu. Zmiany były niezbędne i dobre. Był całkowicie za zmianami.

I całkowicie przeciwko temu, żeby sprawy nie zostawały po staremu.

W kącie stała jego stara włócznia, czyli kawałek krzemienia przywiązany łykiem do drzewca — przeżytek. Teraz używali metalu i narzędzi, tyle różnego dobra przywieźli ze Sklepu. Przez chwilę wpatrywał się w nią tępo, po czym westchnął, wziął ją i udał się na dłuższe rozmyślenia nad różnymi sprawami i własnym do nich stosunkiem. Albo — jak też inni by to określili: żeby się porządnie pomartwić.

* * *

Kamieniołom był stary i znajdował się mniej więcej w połowie stoku wzgórza. Nad nim było stosunkowo strome zbocze, a dalej gęstwina jeżyn i głogu. Dalej ciągnęły się pola. W dole kręta droga wiła się między krzewami i docierała do szosy, którą przecinały szyny kolejowe, czyli dwa długie pasy metalu leżące na drewnianych klocach. Jeździło po nich czasami coś, co przypominało długie ciężarówki, pospinane ze sobą i strasznie głośno klekoczące — podobno nazywało się „pociąg”.

Te szyny kolejowe nie do końca jeszcze rozpracowali, ale nie ulegało wątpliwości, że pociągi były niebezpieczne — za każdym razem, gdy któryś miał przejechać, przegradzano drogę opuszczanym płotem w biało-czerwonym kolorze. Po co komu płot, wszyscy wiedzieli — na polach spotykało się je dość często, a stały tam po to, żeby nie wypuszczać, dajmy na to, krów. Logiczne więc, że tu stawiano je na drodze, żeby nie wypuścić z szyn pociągu. Nigdy nie wiadomo, co taki pociąg mógłby narobić na drodze. . .

Dalej było jeszcze więcej pól, kilka zwirowych sadzawek, doskonale nadających się do połowu ryb (jeśli ktoś naturalnie lubił je jeść), a jeszcze dalej było lotnisko.

Masklin spędził latem wiele godzin, przyglądając się samolotom, które najpierw jechały po ziemi, potem ostro się wznosiły niczym ptaki, a jeszcze później robiły się coraz mniejsze i mniejsze, aż całkiem znikwały. I to właśnie od dość dawna niepokoiło Masklina. Martwiło go zresztą i teraz, gdy siadł na swym ulubionym kamieniu, nie zważając na siąpiący deszcz. Nie dawało mu spokoju co prawda wiele różnych rzeczy, ale nic tak poważnie jak to.

Kiedy Rzecz jeszcze z nim rozmawiała, powiedziała, że powinni dotrzeć tam, gdzie są samoloty, nomy bowiem przybyły z nieba, a właściwie z czegoś, co jest nad niebem i nazywa się przestrzeń. Było to nieco trudno zrozumieć, bo nad niebem powinno być tylko więcej nieba. Powinni tam wrócić — tak mówiła Rzecz. To było... coś na p, zaraz... przeziębienie?... albo przedzenie... nie, raczej przeziębienie. Tak, to było ich przeziębienie: światy, które kiedyś należały do nich. A co ważniejsze pojazd, który ich tu przywiózł — nazywał się statek kosmiczny — wciąż był gdzieś tam w górze. Opuścili go na pokładzie mniejszego statku, zwanego lądownikiem, który się rozbił przy lądowaniu i dlatego nie byli w stanie wrócić.

A on był jedynym, który o tym wiedział. Stary opat, poprzednik Gurdera, też znał prawdę. Gurder, Grimma i Dorcas również wiedzieli, ale tylko trochę. Tyle że oni byli nader zajętymi i praktycznymi nomami, a spraw drobniejszych, ale ważniejszych, nie brakowało.

Wszyscy się zadomawiali, zmieniając kamieniołom we własny mały świat, zupełnie tak jak Sklep — jeszcze trochę i zaczną o nim mówić wielką literą. Myśla, że sufit to niebo, a my myślimy, że niebo to sufit. Jak tu dłużej pozostaniemy, to...

Rozmyślania przerwał mu warkot samochodu skręcającego na drogę prowadzącą do kamieniołomu. Było to tak niezwykle, że Masklin dopiero po chwili zrozumiał, iż gapi się nań, nic nie robiąc.

* * *

— Nikogo nie było na warcie! Dlaczego?! Tyle razy mówiłem, że zawsze ktoś musi być na warcie! — żołądkował się Masklin, wraz z półtuzinem innych przemykając ku bramie wjazdowej pod osłoną usychających paproci.

— Teraz był dyżur Sacca — bąknął Angalo.

— Wcale nie! — syknął Sacco. — Wczoraj mnie prosiłeś, żebyśmy się zamienili dyżurami! Pamięć straciłeś czy co?

— Nic mnie nie obchodzi, czyj to był dyżur! — wrzasnął Masklin. — Ważne, że nikogo nie było, a ktoś powinien tam być! Jasne?!

— Jasne, przepraszam — mruknął Angalo.

Dotarli w pobliże bramy i rozpląszczyli się za kępą uschniętej trawy.

Samochód był małą ciężarówką; kierowca zdążył wysiąść, nim dotarli, i majstrował coś przy bramie.

— To landrower — poinformował pozostałych Angalo, który przed Długą Jazdą przeczytał w Sklepie, co tylko mógł, na temat samochodów. — To w sumie nie jest ciężarówka, to wóz do przewożenia ludzi po... .

— On coś przylepia do bramy — przerwał mu Masklin.

— Do naszej bramy — dodał oburzony Sacco.

— Dziwne — przyznał Angalo, obserwując, jak człowiek w typowy dla ludzi, powolny sposób odchodzi, wsiada w samochód i w końcu odjeżdża. — I przyjechał tu tylko po to, żeby przyczepić nam do bramy kawałek papieru. Gdzie tu logika? Gdzie sens?!

Masklin zmarszczył brwi. Ludzie faktycznie byli duzi i głupi, do tego niepowstrzymani, a przede wszystkim kierowały nimi kartki papieru. To właśnie w Sklepie taka kartka obwieszczała, że zostanie on zniszczony, i rzeczywiście tak się stało. Ludziom z kartkami papieru nie można było ufać.

— Sacco, zdejmij no to, co on zawiesił — polecił, wskazując na zardzewiałą siatkę, nie stanowiącą najmniejszej przeszkody dla zwinnego noma.

* * *

Wiele mil dalej inna kartka papieru furkotała na wietrze, przyczepiona do gałęzi. Na wyblakłych literach pojawiły się krople deszczu, z początku nieliczne, potem padały prawie nieprzerwanie. Papier nasiąkł wodą, zrobił się ciężki... .

... i w końcu się urwał.

Opadł na trawę i poruszył się słabo na wietrze.

Rozdział drugi

III. Oto Znak ujrzeli i pytać jęli: „Jakie znaczenie jego?”

IV. A nie było ono dobre.

Księga nomów, Znaki, w. III-IV

Gurder przemierzał na czworakach zdjętą z bramy kartkę.

— Naturalnie, że potrafię ją przeczytać — parsknął. — Wiem, co oznacza każde słowo.

— No, to o co chodzi? — spytał Masklin. — Przeczytaj w końcu, co tam pisze!

— A tego właśnie nie wiem — przyznał Gurder nieco zawstydzony. — Wyrazy rozumiem, a zdanie nie ma sensu... Tu jest napisane... że kamieniołom zostanie otwarty. Przecież to bez sensu! On jest otwarty, i to od dawna: każdy głupi może to zobaczyć!

Reszta zgromadzonych przytaknęła — faktycznie można to było zobaczyć, i to z bardzo daleka. To właśnie był mankament mieszkania w kamieniołomie: z trzech stron miało się przyzwoite skalne ściany, a z czwartej... zazwyczaj nie patrzyło się w tamtą stronę, bo było tam za dużo niczego. To powodowało, że patrzący czuł się jeszcze mniejszy i bardziej bezradny, niż był w rzeczywistości.

Nawet jeśli znaczenie kartki papieru nie było jasne, to nie ulegało wątpliwości, że wygląda nieprzyjemnie.

— Kamieniołom to dziura w ziemi — odezwał się Dorcas. — Nie można jej otworzyć, jak się jej wcześniej nie zasypie.

— Kamieniołom to miejsce, z którego ludzie biorą kamień — sprzeciwiła się Grimma. — Najpierw kopią dziurę, a potem zabierają kamień na drogi i takie tam różne.

— Spodziewam się, że gdzieś to wyczytałaś? — spytał kwaśno Gurder, od dawna podejrzewający ją o brak szacunku dla autorytetów. Było to tym bardziej denerwujące, że ona, kobieta, czytała lepiej od niego.

— Faktycznie, wyczytałam — odparła, unosząc dumnie głowę.

— Tylko widzisz, tu już nie ma kamieni — wtrącił cierpliwie Masklin. — Dlatego jest dziura.

— Właśnie — zawtórował mu Gurder.
— No, to powiększy dziurę! — warknęła Grimma. — Popatrzcie na te ściany...

Posłusznie popatrzyli.

— ... one są z kamienia! A tu pisze — postukała nogą w papier, więc wszyscy spojrzeli w dół — „do przedłużenia drogi szybkiego ruchu”! Drogi! Powiększy nasz kamieniołom, bo potrzebuje kamieni, przecież to jest tu wyraźnie napisane!

Zapadła długa cisza.

— Kto? — przerwał ją w końcu Dorcas.

— Dyrektyw! Przecież się podpisał — odparła ponuro.

— Ma rację — przyznał Masklin. — Tu na dole, gdzie jest urwane, pisze: „... ma być otwarty w myśl Dyrektyw...”

Zebrani przyjrzeni się skrawkowi papieru. Dyrektyw — to nie brzmiało obiecująco. Ktoś, kto się nazywał Dyrektyw, był prawdopodobnie zdolny do wszystkiego.

Gurder wstał i otrząpał przyodziewek.

— To tylko kawałek papieru, nie tragedia — powiedział niepewnie.

— Ale człowiek tu przyjechał — zauważył Masklin. — A nigdy dotąd tego nie robił.

— Też prawda — zgodził się Dorcas. — Te budynki, drzwi i reszta są na ludzki wymiar, co mnie od początku niepokoiło. Bo gdzie ludzie raz byli, to prędzej czy później wrócą. Są strasznie uparci.

Znów zapadła długa cisza, z rodzaju takich, jakie zapadają, gdy duża grupa nomów ma niemiłe myśli.

— Chcesz powiedzieć — odezwał się w końcu ktoś — że przebyliśmy tę całą drogę i pracowaliśmy tu, żeby miejsce nadawało się do zamieszkania, tylko po to, by ludzie znowu je zniszczyli?

— Nie sądzę, żebyśmy musieli się już teraz tym martwić, gdyż... — zaczął Gurder.

— Mamy tu rodziny — odezwał się inny głos, jak Masklin z pewnym zdziwieniem zauważył, należący do Angala.

Ciągle zapominał, że młodzian ożenił się parę miesięcy temu z dziewczyną z rodu Del Ikatesów i dorobił parki dzieciaków — miały ledwie dwa miesiące, a już całkiem nieźle mówiły.

— I mamy spróbować nowego wysiewu — dodał ktoś z tyłu. — Wiesz, ile się natrudziliśmy, żeby oczyścić ziemię za tymi dużymi barakami.

Gurder uniósł dostojnie dłoń i oznajmił:

— Niczego na dobrą sprawę nie wiemy! Nie ma sensu się denerwować, dopóki się nie dowiemy, co się dzieje.

— A potem możemy się już denerwować? — spytał ponuro Nisodemus, osobisty asystent Gurdera, którego Masklin nigdy nie lubił, głównie dlatego, że tamten

mimo młodego wieku nie lubił nikogo. — Nigdy mi się to miejsce nie podobało... no. Wiedziałem, że będą problemy...

— Ależ, mój drogi, nie ma powodów do czarnowidztwa — przerwał mu Gurdar. — Proponuję, żebyśmy zwołali zebranie Rady. To najlepsze, co możemy zrobić!

* * *

Podsuszona, zmięta gazeta leżała przy drodze, przenoszona po kawałku przez podmuchy wiatru. Równocześnie z przejazdem wyjątkowo dużej ciężarówki zawiął silniejszy wiatr, kartka wystrzeliła w górę, przeleciała nad drogą i rozpostartą niczym żagiel poleciała dalej.

* * *

Rada zebrała się jak zwykle pod podłogą baraku administracyjnego. Tym razem otaczały ją przysłuchujące się obradom nomy, a ci, którzy się nie zmieścili pod podłogą, kręcili się wokół baraku.

— Po drugiej stronie pola z kopalnią ziemniaków jest stara stodoła — przypomniał Angalo. — Trochę na górce, ale w sumie niedaleko. Co nam szkodzi przenieść do niej część zapasów, tak na wszelki wypadek. Gdyby się coś zdarzyło, to mielibyśmy dokąd pójść.

— Tylko dwa baraki mają przestrzeń pod podłogą, ten i kantyna — odezwał się ponuro Dorcas. — To nie Sklep, tu nie ma za dużo miejsca, gdzie można się ukryć. Dlatego niezbędny jest nam sam kamieniołom i wszystkie szopy. Jak ludzie tu wrócą, będziemy musieli się stąd wynosić.

— To stodoła nie jest takim głupim pomysłem? — upewnił się Angalo.

— Czasami tam jeździ człowiek na traktorze — przypomniał Masklin.

— Jednego da się uniknąć bez trudu. A poza tym — Angalo rozejrzał się po słuchaczach — może ludzie sobie pójda, gdy już wezmą te swoje kamienie. Wtedy moglibyśmy tu wrócić, a codziennie możemy kogoś wysyłać, żeby ich szpiegował.

— Coś mi się widzi, że o tej stodole myślisz od dłuższego czasu — zauważył Dorcas.

— Rozmawialiśmy o niej z Masklinem któregoś dnia na polowaniu, prawda, Masklin?

— Hmm? — powiedział Masklin, wpatrzony tępo w przestrzeń.

— Byliśmy koło niej i powiedziałem, że to miejsce może się przydać, a ty powiedziałeś, że może. Pamiętasz?

— Hmm.

— No dobrze, ale zbliża się ta cała Zima — odezwał się ktoś. — Wiesz: zimno, wszystko błyszczy...

— Drozdy — dodał inny.

— Noo — pierwszy głos jakby zyskał na pewności siebie. — Oni też. To nie najlepszy czas, żeby łązić po polu, jak drozdy latają.

— Drozdy są niezłe. — Babka Morkie ocknęła się z krótkiej drzemki. — Mój tata mawiał, że smaczne, tylko strasznie trudno je złapać. — I uśmiechnęła się dumnie.

Jej uwaga miała na tok myślowy pozostałych taki sam wpływ, jak ceglany mur zbudowany w poprzek drogi na ruch. W końcu odezwał się Gurder:

— Uważam, że w tej chwili naprawdę nie mamy się czym ekscytować. Powinniśmy poczekać i ufać w przewodnictwo Arnolda Brosa (zał. 1905).

W ciszy wyraźnie dało się słyszeć mruczany niegłośnie komentarz Angala:

— To nam na pewno pomoże: bzdury i zabobony.

Ponownie zapadła cisza. Tym razem była ciężka. I z każdą sekundą gęstniała, zupełnie jak burzowa chmura zbierająca się nad górą, zanim rozedrze niebo pierwsza błyskawica.

Nie musieli długo czekać.

— Coś ty powiedział? — spytał wolno Gurder.

— To, co wszyscy od dawna myślą, tylko nikt ci nie chciał robić przykrości — odparł spokojnie Angalo.

Większość obecnych zajęła się uważnym oglądaniem własnych butów.

— Może byś mi wyjaśnił, cóż to takiego? — spytał nieco szybciej Gurder.

— Sam chciałeś. — Angalo leciutko wzruszył ramionami. — Gdzie jest ten cały Arnold Bros (zał. 1905)? Jak nam pomógł wydostać się ze Sklepu? Dokładnie, nie ogólnikami, jeśli łaska! Nie pomógł, taka jest prawda! Sami to zrobiliśmy! Ucząc się i myśląc. Czytając twoje książki, dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego potrzebowaliśmy i sami...

Gurder, blady z wściekłości, zerwał się na równe nogi. Siedzący obok Nisodemus zatkał sobie uszy.

— Arnold Bros (zał. 1905) jest tam, gdzie my jesteśmy! — zagrzmiał Gurder.

Angalo nieco się cofnął, ale nie na darmo jego ojciec należał do najbardziej upartych w całym Sklepie.

— Właśnie to wymyśliłeś! — parsknął. — Nie mówię, że w Sklepie nie było... czegoś. Ale to było w Sklepie, a tu jest tu i mamy tylko siebie! Na cuda nie ma co liczyć, bo się nie zdarzą. Problem z wami, Piśmiennymi, polega na tym, że tak się w Sklepie przyzwyczailiście do władzy, że nie mieści wam się po prostu w głowach, iż moglibyście ją stracić!

Masklin nagle wstał.

— Posłuchajcie obaj...

— Aha! — warknął Gurder, ignorując go. — Wylazł z ciebie de Pasmantarii. Zawsze byłeś arogant, ot co! Przejechaliśmy kawałek ciężarówką, i to głównie po krzakach, i myślimy, żeśmy wszystkie rozumy zjedli, tak?! We łbie ci się po-przewracało, Angalo...

— ... to nie czas i miejsce na takie rzeczy... — próbował dokończyć Masklin.

— To tylko głupie przesady, dlaczego nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy?! — zaperzył się Angalo. — Arnold Bros nie istnieje! Użyj rozumu, jaki ci dał dawno temu, to sam zobaczysz, stary durniu!

— Jak się natychmiast obaj nie zamkniecie, to przyleję jednemu i drugiemu! — ryknął Masklin.

Tym razem osiągnął zamierzony efekt — zapadła cisza.

— No właśnie — powiedział, już w miarę normalnym tonem. — A teraz wydaje mi się, że dobrze by było, żeby wszyscy wrócili do tego, co robili, zanim się tu zeszli. Żeby podjąć skomplikowaną decyzję, trzeba się najpierw namyślić, a nie tak na łapu-capu.

Zebrani, częściowo zadowoleni, częściowo rozczarowani, wykonali polecenie. Naturalnie Gurder i Angalo, ledwie znaleźli się na zewnątrz, podjęli na nowo kłótnię.

— Przestańcie! — polecił Masklin, gdy ich dogonił.

— Posłuchaj... — zaczął Gurder.

— To ty posłuchaj, a raczej obaj posłuchajcie! Zdaje się, że mamy poważny problem, a wy zaczynacie się kłócić! Myślałem, że jesteście mądrzejsi: nie dociera do was, że jeszcze bardziej denerwujecie wszystkich?

— To ważne! — bąknął Angalo.

— Ważne jest obejrzenie stodoły — warknął Masklin. — Pomysł mi się co prawda średnio podoba, ale może być użyteczny. Poza tym gdy wszyscy mają zajęcie, to znacznie mniej się martwią. To co, będzie spokój?

— Będzie — przyznał niechętnie Gurder. — Ale...

— Żadnych „ale”! Zachowaliście się jak para idiotów, a macie być przykładem dla innych, więc będziecie, jasne?!

Obaj adresaci tej przemowy spojrzeli po sobie ponuro, ale kiwnęli głowami.

— No — odetchnął Masklin. — A teraz zaczynacie świecić przykładem. Jak trochę poświecicie, zabierzemy się do planowania.

— Ale tak na przyszłość: Arnold Bros (zał. 1905) jest ważny — odezwał się Gurder.

— Niech tam będzie — mruknął Masklin, spoglądając na błękitne niebo.

— Żadne „niech tam”! — obruszył się Gurder.

— Posłuchaj: nie wiem, czy Arnold Bros istniał, czy nie, czy był w Sklepie, czy tylko w naszych głowach. Wiem natomiast, że nie wyskoczy zza chmurki i nie rozwiąże naszych problemów za nas.

Wszyscy trzej odruchowo unieśli głowy, przy czym sklepowe nomy lekko się wzdrygnęły — widok nie kończącego się nieba zamiast zwykłych desek sufitu zawsze tak działał, ale taka była moc tradycji: gdy mówiło się o Arnoldzie Brosie, patrzyło się w górę. Bo w górze była Rachuba i jego gabinet.

— Zabawne, ale właśnie coś leci — zauważył Angalo.

To coś było białe, mniej więcej prostokątne i rosło w oczach.

— To kawałek papieru — rozpoznał Gurder. — Wiatr zwiął go z jakiegoś wysypiska.

— Tak sobie myślę... — zaczął Masklin, obserwując zbliżający się po ziemi cień — że lepiej, żebyśmy się trochę odsunęli...

Kartka wylądowała na nim. Co prawda papier nie jest ciężki, ale nomy są niewielkie, toteż w efekcie Masklin wylądował na ziemi. To akurat specjalnie go nie zaskoczyło, zaskoczyły go natomiast słowa, które zobaczył, gdy padł na plecy: **ARNOLD BROS.**

Rozdział trzeci

I. I szukać poczęli Lepszego Znaku od Arnolda Brosa (zał. 1905), i oto znaleźli.

II. I rzekli niektórzy: „To nic zaprawdę, to jedynie Ko incydent.”

III. I rzekli im inni: „Nawet Ko incydent może być wszelako Znakiem.”

Księga nomów, Znaki, w. I-III

W kwestii Arnolda Brosa (zał. 1905) Masklin zawsze starał się mieć umysł otwarty. No bo tak: Sklep faktycznie był duży i robił wrażenie, o ruchomych schodach nie wspominając. Jeśli to nie Arnold Bros (zał. 1905) go stworzył, to kto? Pozostawali tylko ludzie, a choć nie uważał ich, jak większość nomów, za zupełnych głupców, było to zadanie raczej przekraczające ich możliwości. Na pewno można ich było nauczyć wykonywania prostych czynności, ale zrobienie Sklepu wcale nie było proste. Z drugiej strony, świat jako taki był strasznie duży — mierzył na pewno wiele mil, a pełen był rozmaitych skomplikowanych rzeczy. Naciągane wydało mu się twierdzenie, że to wszystko dzieło Arnolda Brosa (zał. 1905).

W końcu zdecydował nic nie decydować w kwestii Arnolda Brosa (zał. 1905), na wypadek gdyby tenże Arnold Bros (zał. 1905) jednak istniał i dowiedział się, że on, Masklin, też istnieje. Nie powinien wtedy mieć nic przeciwko dalszemu istnieniu Masklina.

Dodatkowym minusem posiadania otwartego umysłu było to, że wszyscy wokół robili, co mogli, aby tam wepchnąć różne rzeczy. Do tego należało się po prostu przyzwyczaić.

Gazeta z nieba została starannie rozpostarta na podłodze jednej z szop. Była pełna słów i większość z nich Masklin rozumiał, lecz nawet Grimma nie była w stanie pojąć ich sensu, czytając je razem. Były tam bowiem napisy w stylu: GRAJ W SUPERBINGO W BLACKBURY EYENING POST & GAZETTE albo: SZKOŁA PODDAJE KRYTYCE SZOKUJĄCE DOCHODZENIE, albo też: OBURZENIE NA DODATKOWEGO REBELIANTA. Były to zagadki, które musiały poczekać na wyjaśnienie, uwagę wszystkich bowiem przykuwał niewielki fragment — mniej więcej akurat rozmiarów noma — zatytułowany: LUDZIE.

— To znaczy ludzie — oceniła Grimma.

— Naprawdę? — upewnił się Masklin.

— A pod spodem jest napisane: „Wesoły globtroter i milioner oraz znany play-boy Richard Arnold w przyszłym tygodniu odleci na Florydę, by być świadkiem startu ARNSAT 1, pierwszego komuni... kacyjnego sat... elity zbudowanego przez Arnco Inter... national Group. Ten skok w przyszłość nastąpi zaledwie kilka miesięcy po spaleniu się...” — większość czytających po cichu razem z nią otrząsnęła się na wspomnienie — „... sklepu Arnolda Brosa w Blackbury, który był pierwszym z sieci sklepów Arnolda i podstawą wielomilionowej obecnie korporacji. Został on zbudowany przez Aldermana Franka W. Arnolda i jego brata Arthura w 1905 r. Wun... Wnuk Richard, 39...” — Głos Grimmy ścichł do szeptu i umilkł.

— Wnuk Richard, 39 — powtórzył tryumfalnie Gurder. — I co wy na to?

— Co to jest „globtroter”? — zainteresował się Masklin.

— Cóż... „glob” to kula, czyli piłka, a „troter” to taki, co wolno chodzi albo wolno biega — wyjaśniła nieco mętnie, ale za to naukowo Grimma. — Wychodzi, że on wolno biega po piłce.

— To wiadomość od Arnolda Brosa — oznajmił Gurder radośnie. — Dla nas. Wiadomość!

— Wysłana i dotarła! — Nisodemus stojący za Gurderem wziął głęboki oddech, uniósł ręce i zaintonował: — Zaprawdę wielka jest chwala... .

— Tak, tak, mój drogi, ale bądź łaskawie cicho! — przerwał mu Gurder, uśmiechając się przepraszająco do Masklina.

— Coś mi tu nie gra — zastanowił się Masklin. — Po co ktoś ma wolno biec? A poza tym jakby wolno biegł, to musiałby spaść z tej piłki.

Przyjrzeni się ponownie zdjęciu. Składało się z malutkich kropek, ale jak się na nie popatrzyło z pewnej odległości, widać było uśmiechniętą twarz. Razem z zębami i brodą.

— To w sumie logiczne. — Gurder wyraźnie zyskał na pewności siebie. — Arnold Bros (zał. 1905) wysłał Wnuka, 39, do...

— Tam jest napisane, że kilku zbudowało sklep — przerwał mu Masklin. — Zawsze myślałem, że to Arnold Bros (zał. 1905) stworzył Sklep.

— Tamci go tylko zbudowali, to logiczne: przecież to duży Sklep. Strasznie by się namęczył, jakby wszystko musiał sam robić. — Gurder nieco stracił na świeżo nabytej pewności siebie. — Tak, to logiczne.

— Dobra — odezwał się Dorcas. — Podsumujmy. Wiadomość jest taka: Wnuk, 39, jest na Florydzie, gdziekolwiek to jest...

— Będzie na Florydzie — poprawiła go Grimma.

— To taki kolorowy sok — zgłosił się na ochotnika ktoś z tyłu. — Wiem, bo któregoś dnia na śmietniku był karton, na którym pisało: „Floryda Sok Pomarańczowy”. Sam przeczytałem.

— Dobra, będzie w soku w kolorze pomarańczy, jak rozumiem — podjął z powątpiewaniem w głosie Dorcas — biegnąc powoli na piłce i odlatując nie wiadomo jak. I zdaje się, że robi to wszystko dobrowolnie.

Zapadła cisza — obecni przetrawiali to, co powiedział.

— Święte objawienia są często trudne do zrozumienia — stwierdził poważnie Gurder.

— W takim razie to musi być bardziej święte niż inne — mruknął Dorcas.

— A według mnie to zwykły zbieg okoliczności — powiedział uroczyście Angalo. — To zwykła historyjka o jakimś człowieku jak te, które czytaliśmy nieraz w książkach.

— A ilu ludzi może stać na piłce? — spytał spokojnie Gurder. — Że nie wspomnę o powolnym na niej biegu?

— Niech będzie — skapitulował Angalo. — To co z tym zrobimy?

Gurder opuścił dolną szczękę; zamknął ją bezgłośnie, po czym powtórzył ten zabieg kilkakrotnie. Angalo czekał cierpliwie.

— No, to chyba oczywiste — wykrztusił w końcu opat.

— Tak? Jak dla kogo — nie ustępował Angalo.

— No... to jest... no, oczywiście. Musimy udać się do... no, miejsca, w którym znajduje się ten sok pomarańczowy...

— Tak? — ponaglił go uprzejmie Angalo.

— I... no, znaleźć Wnuka, 39, co nie powinno być trudne, bo mamy jego zdjęcie i...

— Tak? — powtórzył Angalo.

Gurder spojrzał nań nieżyczliwie.

— Pamiętasz przykazania, zwane też Znakami, które Arnold Bros (zał. 1905) umieścił w Sklepie? — spytał złośliwie. — Czy jedno nie głosiło: „Jeśli nie widzicie tego, czego potrzebujecie, zapytajcie proszę”?

Zgromadzeni przytaknęli — prawie każdy je widział, podobnie jak i inne przykazania: „Wszystko musi iść” albo „Psy i wózki muszą być niesione”. To były słowa Arnolda Brosa (zał. 1905) i nikt z nimi nie dyskutował. Tylko że to było w Sklepie.

— I? — ponaglił go niezmiennie uprzejmy Angalo.

Gurder zaczął się pocić.

— Cóż... no, i możemy go poprosić, żeby nam dał spokój w kamieniołomie i żeby tu ludzie niczego nie otwierali...

Zapadła pełna niepewności cisza.

— To jest najbardziej niedorze... — zaczął Angalo, ale Grimma zdążyła mu wejść w słowo:

— Co to jest, że on odlatuje? Przecież ludzie nie mają skrzydeł.

— Ale mają samoloty. — Angalo w końcu był specjalistą od transportu. — I te... odrzutowce też mają.

— Czyli on odleci samolotem albo odrzutowcem? — upewniła się Grimma.
Wszyscy spojrzeli na Masklina, którego zafascynowanie lotniskiem było powszechnie znane. Tyle że Masklina nie było.

* * *

Masklin wyciągnął z dziury Rzecz i pomaszerował do najbliższych kabli elektrycznych. Rzecz nie musiała być do nich podłączona, wystarczyło, że znalazła się w ich pobliżu. Najbliżej było do starego pokoju dyrektora, toteż przepchnął się pod wypaczonymi drzwiami, ustawił Rzecz pod pękiem przewodów i czekał.

Zanim Rzecz się obudziła, zawsze mijało trochę czasu: migały różnobarwne światełka i coś w niej bipało. Masklin zawsze uważał, że są to odpowiedniki odgłosów, jakie wydaje normalny nom zmuszony do wczesnego wstania.

W końcu migotanie-bipanie się uspokoiło i znajomy głos spytał:

— „Kto tu jest?”

— Ja — odparł Masklin. — Posłuchaj: muszę się dowiedzieć, co to jest „satelita komunikacyjny”. Kiedyś, zdaje się, mówiłaś, że Księżyc jest satelitą. Zgadza się?

— „Tak, ale satelity komunikacyjne to sztuczne księżyce używane do łączności, czyli do przesyłania informacji. W tym wypadku radiowych i telewizyjnych.”

— Co to jest „telewizja”?

— „Wysyłanie obrazów przez powietrze.”

— Często się tak dzieje?

— „Cały czas.”

Masklin przyrzekł sobie solennie, że w najbliższym czasie poszuka jakichś obrazków w powietrzu.

— Rozumiem — zełgał. — A te satelity, gdzie one dokładnie są?

— „Na niebie.”

— Wątpię, żebym kiedyś któregoś widział — bąknął niepewnie Masklin. W jego umyśle zaczynał kiełkować pomysł składający się z kawałków tego, co usłyszał i zobaczył. Te kawałki zaczynały się łączyć i najważniejsze było dać im na to czas, i nie przestraszyć ich przedwcześnie.

— „Są na orbitach wiele mil nad powierzchnią. I jest ich całkiem dużo.”

— Skąd wiesz?

— „Bo jestem w stanie je wykryć.”

— Aha. — Masklin przyjrzał się migającym światełkom i spytał: — Jeśli są sztuczne, to przypadkiem nie znaczy, że nie są prawdziwe?

— „To znaczy, że są maszynami. Zazwyczaj buduje się je na planecie i potem wystrzeliwuje w przestrzeń.”

Pomysł był prawie gotów i unosił się niczym bąbelek. . .

— Przestrzeń to tam, gdzie jest nasz statek, tak?

— „Zgadza się.”

Masklin poczuł, jak umysł eksploduje w nim niczym dmuchawiec, toteż wyrzucił z siebie słowa, zanim zdążyły uciec:

— Jeślibyśmy wiedzieli, gdzie takie coś mają wystrzelić w kosmos, i mogliśmy się do tego przyczepić albo coś... albo pokierować jak ciężarówką... i zabrałibyśmy cię ze sobą, to w górze moglibyśmy przeskoczyć albo inaczej znaleźć nasz statek. Prawda?

Światelka na Rzeczy zamigotały, układając się we wzory, jakich Masklin nigdy dotąd nie widział. Chwilę potrało, zanim Rzeczeń się odezwała:

— „Wiesz, jak duża jest przestrzeń?”

— Nie — przyznał uprzejmie Masklin. — Ale myślę, że duża.

— „Duża to może niewłaściwe słowo. Gdybym się jednak znalazła ponad atmosferą, mogłabym poszukać i przywołać statek... Wiesz może, co to takiego zapas tlenu?”

— Nie.

— „W przestrzeni jest bardzo zimno.”

— To można poskakać, żeby się rozgrzać.

— „Wydaje mi się, że nie masz pojęcia, co to jest przestrzeń i co ona zawiera.”

— A co zawiera?

— „Nic. I wszystko. Tyle że wszystkiego jest bardzo niewiele, za to niczego więcej, niż możesz sobie wyobrazić.”

— Ale i tak trzeba próbować?

— To, co proponujesz, jest nadzwyczaj nierozsądnym przedsięwzięciem.

— Może, tylko widzisz: jak nie spróbujemy, to zawsze będzie tak jak teraz. Zawsze będziemy uciekać, znajdować nowe miejsce, a jak zaczniemy się w nim zadomawiać, to znowu będziemy musieli uciekać. Wcześniej czy później musimy znaleźć miejsce należące do nas. Naprawdę należące. Dorcas ma rację: ludzie wciskają się wszędzie. A poza tym to przecież ty powiedziałaś, że nasz dom był... gdzieś tam w górze, wśród gwiazd.

— „Ale nie nadszedł właściwy czas. Nie jesteście odpowiednio przygotowani.”

— Nigdy nie będziemy odpowiednio przygotowani! — Masklin zacisnął pięści. — Urodziłem się w dziurze w ziemi, to jak mam być do czegokolwiek przygotowany?! Na tym polega życie, do którego nikt nie jest właściwie przygotowany. A ma się tylko jedną szansę. Zawsze! I albo się z niej skorzysta, albo się ginie, bo na przygotowania nigdy nie ma czasu. Rozumiesz? Musimy próbować teraz! A poza tym rozkazuję ci nam pomóc! W końcu jesteś maszyną i musisz wykonywać moje polecenia!

Światelka na Rzeczy uformowały spiralę.

— „Szybko się uczysz” — przyznała Rzeczeń.

Rozdział czwarty

III. I ozwał się Wielki Masklin głosem niczym głos Gromu, a rzekł do Rzeczy te słowa: „Teraz oto nadszedł czas, by wrócić do Domu naszego w Niebie.”

IV. „Inaczej albowiem zawsze błąkać się będziemy i uciekać z miejsca na miejsce.”

V. „Pamiętaj jednakowoż, aby na razie nikt nie wiedział, co zamierzam, albowiem rzekną, iż nie ma sensu szukać Domu w Niebiesiech, skoro nowy właśnie tu znaleźli.”

VI. „Taka bowiem jest natura nomów.”

Księga nomów, Kamieniołomy, w. III-VI

Gdy Masklin wrócił na zebranie, kłótnia między Angażem, a Gurderem rozgorzała, aż echo niosło. Zamiast próbować ich uspokoić, postawił Rzeczą na podłodze, usiadł obok i zajął się obserwowaniem rozwoju wydarzeń.

Już dawno zauważył, że po pierwsze nomy naprawdę lubią się kłócić, po drugie sekret dobrej kłótni tkwi w tym, że nie zwraca się uwagi na wypowiedzi adwersarza. Gurder i Angalo to ostatnie opanowali po mistrzowsku. Tym razem jednak obaj mieli ten sam problem, który nieco ograniczała ich możliwości, zwiększając jednocześnie natężenie sporu. Otóż żaden nie był tak do końca przekonany, że ma rację. W takim wypadku utarczka zawsze była bardziej zacięta i głośniejsza, zupełnie jakby każdemu najbardziej zależało na przekonaniu samego siebie. Tym razem Gurder nie był całkowicie pewien, czy Arnold Bros (zał. 1905) faktycznie istnieje, Angalo zaś nie był do końca przekonany, że nie istnieje.

W końcu Angalo zauważył powrót Masklina.

— Powiedz mi, Masklin! — Natychmiast wykorzystał swą spostrzegawczość. — On chce odszukać Wnuka, 39.

— Naprawdę? — zainteresował się Masklin. — A gdzie chcesz go szukać?

— Na lotnisku. — Gurder był pewien swego. — Jak ma odlecieć, to tylko samolotem albo odrzutowcem. Więc musi się zjawić na lotnisku.

— Przecież znamy lotnisko! — jęknął Angalo. — Sam kilkanaście razy byłem przy ogrodzeniu! Ludzie tam wchodzi i wychodzą przez cały dzień, a Wnuk,

39, wygląda jak oni! Poza tym mógł już odlecieć i teraz jest w soku. Nie można wierzyć słowom, które spadły z nieba! Masklin to stateczny chłop, on wam powie. Powiedz im, Masklin! A ty, Gurder, lepiej go posłuchaj, bo on się zna! A w takich czasach to...

— Chodźmy na lotnisko! — przerwał mu Masklin.

— Właśnie! — ucieszył się Angalo. — Mówiłem ci, że to rozsądny nom... co?!

— Chodźmy na lotnisko i spróbujmy go znaleźć.

Angalo rozdziawił usta ze zdziwienia.

— Ale... ale... — na więcej nie starczyło mu konceptu.

— Trzeba spróbować — pocieszył go Masklin.

— Ale to wszystko może być tylko zbiegiem okoliczności! I pewnie jest!

— No, to wrócimy. — Masklin wzruszył ramionami. — Poza tym nie mówię, że mamy wszyscy tam iść. Tylko kilku.

— A jak coś się wydarzy, gdy nas nie będzie?

— To się wydarzy. Jakbyśmy byli, też by się wydarzyło. Jest nas parę tysięcy i jeśli nie będziemy musieli się przenieść do tej stodoły, to poradzą sobie i bez nas. To nie Długa Jazda.

Angalo zawahał się, po czym oświadczył:

— W takim razie też idę. Żeby ci udowodnić, jak się zrobiłeś przesądny.

— Udowadniaj — zgodził się Masklin.

— Naturalnie, jeśli Gurder też pójdzie — dodał Angalo.

— Że co? — zdziwił się Gurder.

— W końcu jesteś opatem, nie? — Angalo nie krył sarkazmu. — Jak przypadkiem byśmy znaleźli Wnuka, 39, to kto będzie z nim gadał, ja? Przecież nikogo poza tobą nie będzie chciał wysłuchać. Prawdopodobnie.

— Aha! Myślisz, że nie pójdę, tak? Właśnie, że pójdę, choćby po to, żeby zobaczyć twoją minę...

— W takim razie ustalone — podsumował Masklin. — A teraz proponuję wystawić wartę obserwującą drogę. I wysłać zespół do stodoły. I sprawdzić, które zapasy można tam przenieść, na wszelki wypadek.

* * *

Grimma czekała na niego na zewnątrz. Nie wyglądała na szczęśliwą.

— Znam cię i znam twoją minę, kiedy uda ci się zmusić innych do czegoś, na co nie mają ochoty — oznajmiła, ledwie go ujrzała. — Teraz masz właśnie taką minę! Co ci chodzi po głowie?

Przeszli w cień rzucany przez zardzewiały arkusz blachy falistej, ale Masklin i tak co rusz spoglądał w górę. Dotąd był przekonany, że niebo to takie niebieskie coś z chmurami; teraz wiedział, że jest pełne słów, obrazów i satelitów, tylko jakos

żadnego nie był w stanie zobaczyć. Dlaczego im więcej się dowiaduje, tym mniej się naprawdę wie?

W końcu przyznał:

— Nie mogę ci powiedzieć, bo sam do końca nie wiem.

— Rzecz się odezwała, tak?

— Tak. Posłuchaj, jakby mnie nie było trochę dłużej niż...

Grimma ujęła się pod boki i spiorunowała go wzrokiem.

— Nie jestem taka głupia, jak niektórzy sądzą. Sok pomarańczowy! Debilizm i tyle! Przeczytałam wszystkie książki, jakie zabraliśmy ze Sklepu, i wiem, że Floryda to miejsce. Jak kamieniołom, tylko większe. I jest daleko stąd. Żeby się tam dostać, trzeba najpierw przepłynąć dużo wody. Albo przelecieć.

— Wydaje mi się, że ona może być dalej, niż przejechaliśmy podczas Długiej Jazdy — dodał cicho Masklin. — Jednego dnia, gdy poszedłem na lotnisko, widziałem po drugiej stronie dużo wody. Wyglądała, jakby była wszędzie dalej.

— To pewnie był ocean.

— Może, choć była przy nim tabliczka. Wiesz, że nie czytam tak dobrze jak ty, a tam było dużo słów, więc wszystkich nie zapamiętałem, ale na pewno pisało tam: „zbiornik”.

— Może to inna nazwa, ludzie często to samo różnie nazywają.

— I tak muszę spróbować. — W głosie Masklina słychać było determinację. — Jest tylko jedno miejsce, które jest naprawdę nasze własne i w którym będziemy bezpieczni. Inaczej zawsze będziemy musieli uciekać.

— Nie musi mi się to podobać, prawda? I nie podoba mi się.

— Sama powiedziałaś, że nie lubisz uciekać — przypomniał jej. — Alternatywy nie mamy. Daj mi spróbować: jak się nie uda, to wrócimy.

— A jak coś się stanie? Jak nie wrócisz? Ja...

— Tak? — spytał z nadzieją.

— Przecież im tego nie wytłumaczę! To głupi pomysł i nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

— Och. — Masklin nawet nie próbował ukryć rozczarowania. — Cóż, przykro mi, ale i tak spróbuję.

Rozdział piąty

V. I spytał: „Zaprawdę, cóż to za żaby, o których tyle mówisz?”

VI. I odrzekła mu: „I tak tego nie pojdziesz.”

VII. I przyznał jej rację w roztropności swej.

Księga nomów, Dziwne żaby, w. V-VII

To była pracowita noc...

Droga do stodoły była kilkugodzinną wyprawą, najpierw więc wyruszyła ekipa oznaczająca i oczyszczająca drogę, której zadaniem było jednocześnie przegonienie lisów, gdyby się jakieś trafiły. Szansa na to ostatnie była niewielka, gdyż lisy należały już do rzadkości w tej okolicy. Samotny nom był dla lisa smacznym kąskiem, ale trzydziestka dobrze uzbrojonych i pełnych entuzjazmu myśliwych to była zupełnie inna propozycja. Nawet najgłupszy lis nie wykazywał nią zainteresowania. Kilka żyjących najbliżej kamieniołomu szybko nauczyło się czym prędzej zmieniać kierunek i pospiesznie oddalać na widok noma. Nawet pojedynczego, gdyż na własnej skórze doświadczyły, że nomy oznaczają kłopoty.

Wszystko zaczęło się krótko po wprowadzeniu się nomów do kamieniołomu.

Lis zaskoczył parę zbieraczy jagód i zjadł ich ze smakiem. Prawdziwe zaskoczenie przeżył w nocy, gdy przed jego jamą pojawiły się dwie setki zdeterminowanych nomów. Rozpaliły u wejścia ognisko, a gdy uciekał przed wypełniającym jamę dymem, zatłukły go na śmierć.

Wiele stworzeń miało ochotę na noma, tak jak uprzedzał Masklin, ale wybór był prosty: albo one, albo my (to także mówił Masklin). I lepiej, żeby się szybko nauczyły, że tym razem to będą one. Czas polowań na nomy się skończył, teraz nomy polowały.

Najszybciej zrozumiały to koty, ale koty były znacznie mądrzejsze od lisów.

— Naturalnie może w ogóle nie być powodów do obaw — powiedział z nadzieją Angalo, gdy zbliżał się świt. — Może w ogóle nie będziemy musieli tego robić.

— I to właśnie jak zaczęliśmy się zadamawiać! — sarknął Dorcas. — Przy stałym posterunku zdołamy w ciągu pięciu minut wszystkich wysłać w drogę,

a część zapasów żywności zaczniemy przenosić dziś rano. Przezorność nie zaszkodzi, a gdyby się okazało, że są potrzebne, to będą na miejscu.

Czasami chodzono aż na lotnisko, ale znacznie częściej na znajdujące się po drodze śmietnisko, gdzie można było znaleźć skrawki odzieży, kable itd. Nieco dalej były zalane żwirowiska, dobre dla każdego, kto miał cierpliwość i lubił ryby. Była to jednak podróż głównie borsuczymi ścieżkami. Trzeba było przejść przez autostradę, a raczej pod nią, ponieważ tam, gdzie biegła borsucza ścieżka, położono pod jezdnią rury umożliwiające spokojne przejście. Najprawdopodobniej zrobiły to borsuki, bo głównie to one z niego korzystały.

Masklin znalazł Grimmę w jamie szkolnej pod jedną z szop. Nadzorowała naukę pisania. Spojrzała na niego, kazała dzieciakom ćwiczyć dalej, a Niccowi de Pasmanterii podzielić się z pozostałymi dowcipem, który go tak śmieszył. Gdy odmówił, poleciła mu się zamknąć i pisać z innymi, i wyszła do tunelu.

— Wpadłem tylko powiedzieć ci, że ruszamy. — Masklin przełożył kapelusz z ręki do ręki. — Spora grupa idzie do śmietnika, więc będziemy mieli towarzysztwo...

— Prąd — powiedziała Grimma.

— Co?!

— W stodole nie ma prądu, pamiętasz, co to znaczy? W bezksiężycowe noce w norze nie można było nic zrobić. Nie chcę, żeby znowu tak było.

— Cóż... może byliśmy wtedy lepsi. Nie mieliśmy co prawda tych wszystkich rzeczy, które mamy teraz, ale byliśmy...

— Głodni, głupi, zziębnięci i przerażeni. — uzupełniła ponuro. — Wiesz, jak było, ja też. I nie próbuj udawać Babki Morkie, zresztą nawet ona nie opowiada o Dobrych, Starych Czasach.

— Mieliśmy siebie.

Grimma obejrzała swoje dłonie.

— Byliśmy po prostu w tym samym wieku i mieszkaliśmy w tej samej norze... — bąknęła. — Teraz się wszystko zmieniło! Teraz... teraz są choćby żaby!

Masklin był zmieszany. Grimma wyglądała niepewnie, co u niej także było stanem nienormalnym.

— Czytałam o nich — dodała pospiesznie. — Jest takie miejsce, nazywa się Amerykałacińska. Tam są góry, las i pada, i jest gorąco. I w tym deszczowym lesie rosną wysokie drzewa, a na ich najwyższych gałęziach rosną takie wielkie kwiaty, nazywają się *bromelie* i są do połowy wypełnione wodą, i są takie małe żaby, które w nich żyją, składają jaja, mają kijanki i w ogóle żyją całe życie i nie wiedzą ani o gałęziach, ani o drzewach, ani o niczym, a ja teraz o nich wiem i nigdy nie zdołam ich zobaczyć, a potem ty chcesz, żebym żyła z tobą w dziurze i prała ci skarpetki!

Masklin popatrzył na nią zdziwiony — jeszcze nikt nie powiedział takiego długiego zdania jednym tchem. Powtórzył je sobie w myślach, na wypadek gdyby jednak miało jakiś sens, i zdołał skoncentrować się na jednym:

— Ja nie noszę skarpetek.

Najwyraźniej nie była to najwłaściwsza uwaga, gdyż Grimma stuknęła go palcem w brzuch i powiedziała już normalnie:

— Masklin, jesteś dobry nom i do tego niegłupi, na swój sposób, ale w niebie nie ma odpowiedzi. Odpowiedzi można znaleźć, stojąc twardo na ziemi, a nie chodząc z głową w chmurach.

I wróciła do jamy, zamykając za sobą drzwi.

— A właśnie, że znajdę! — krzyknął za nią, czując, że go uszy pała. — I mogę robić obie rzeczy! Równocześnie!

Wymaszerował na zewnątrz, gotując się prawie ze złości. Niegłupi na swój sposób!! Gurder miał rację: powszechna edukacja nie jest dobrym pomysłem! I nawet jakby dożył dziesięciu lat, bab i tak nie zrozumie! Tego się po prostu nie da.

Gurder przewodnictwo nad Piśmiennymi przekazał Nisodemusowi, co Masklinowi średnio się podobało. Prawdę mówiąc, nie podobało mu się wcale i to nie dlatego, żeby Nisodemus był głupi. Wręcz przeciwnie, tylko jego inteligencji Masklin nie ufał. Miała zwyczaj gotować się długo i ujawniać nie w tym, co trzeba. W dodatku ujawniała się takim słowotokiem, że Nisodemus musiał wstawiać „no” i inne przerywniki, żeby złapać oddech, nie dopuszczając przy tym nikogo do głosu. W każdym razie Masklin mu nie ufał i nie omieszkiał powiedzieć o tym Gurderowi.

— Faktycznie, może być trochę zbyt entuzjastyczny — przyznał Gurder — ale serce ma tam, gdzie trzeba.

— A głowę? — zainteresował się Masklin.

— Posłuchaj, znamy się chyba wystarczająco dobrze, żeby się dokładnie zrozumieć, prawda?

— Tak, a bo co?

— Bo ja się nie wtrącam w twoje decyzje dotyczące ciał, więc bądź uprzejmy postępować podobnie w kwestiach dotyczących dusz, bo to moja dziedzina. Uczciwie?

Ton Gurdera ledwie stopień dzielił od groźby, toteż Masklin ustąpił na wszelki wypadek.

Pożegnania, wskazówki, przypomnienia i setka krótkich sprzeczek były w sumie bez znaczenia.

Wyruszyli.

* * *

Życie w kamieniołomie jako tako wróciło do normy. Nikt niczym nie podjeżdżał pod bramę, ale Dorcas i tak polecił kilku zwinniejszym asystentom napchać błota do kłódki i owinać skrzydła bramy oraz słupki ciasno skręconymi drutami. Nie miał naturalnie złudzeń, że to wystarczy, by powstrzymać choćby jednego zdeterminowanego człowieka, ale miał przez to lepsze samopoczucie. A nikt z pozostałych nie miał nic przeciwko temu, bo i tak nie rozumieli się na mechanice.

Samochód wrócił tego samego popołudnia, o czym para wartowników zameldowała natychmiast, z trudem łapiąc oddech. Kierowca pogmerał przy kłódce, potrząsnął bramą i odjechał.

— I coś powiedział — dodał Sacco.

— Właśnie, coś powiedział: Sacco słyszał — poparła go Nooty, która nosiła spodnie, była dobra w mechanice i zgłosiła się na ochotnika, gdyż wolała wartowanie od nauki gotowania.

Dorcas, patrząc na nią, doszedł do wniosku, że nie wszystko jednak zmienia się na gorsze.

— No, słyszałem, jak coś mówił — potwierdził Sacco, jakby do wszystkich nie dotarło.

— Tak jest, oboje słyszeliśmy. Prawda, Sacco?

— A co on powiedział? — spytał zrezygnowany, Dorcas, rozumiejąc, że sami w życiu nie powiedzą. Zdecydowanie wolał być w warsztacie i próbować wynaleźć radio: na rządzenie był stanowczo za stary.

— On powiedział... — Sacco wziął głęboki oddech, wytrzeszczył oczy i ryknął, wcale udanie naśladując powolny ryk człowieka: — Chhhhoooooollllleeeerrrrnnneeeeggggóóóówwwnnnnniiiiiaaaaarzzrzzeeee!

Dorcas spojrzał na pozostałych.

— Ktoś ma jakieś pomysły? — spytał. — To prawie coś znaczy, no nie? Gdybyśmy byli w stanie ich tylko zrozumieć...

— To musiał być jeden z głupszych — uzupełniła Nooty. — Próbował tu wejść.

— W takim razie wróci. — Dorcas potrząsnął głową. — Dobra robota, teraz wracajcie i uważajcie dalej. Jakby co, meldować.

Przez chwilę obserwował, jak oboje zmierzają ku bramie, po czym odwrócił się i ruszył ku barakowi administracyjnemu, a konkretnie ku pokojowi dyrektora, rozmyślając głęboko. Widział już sześć razy Świąteczny Kiermasz, czyli miał sześć tych... jak im tam... lat. A raczej siedem, choć tutaj trudno było mieć pewność, jako że nikt nie wywieszał znaków, co się dzieje i jaka dokładnie jest pora roku, a ogrzewanie w dodatku zwariowało. No, w każdym razie miał koło siedmiu lat, czyli powinien zacząć prowadzić spokojne życie, a tymczasem znajdował się w miejscu bez ścian, z wodą, która ostatnio stała się zimna, a rano zamieniała

się w szkło, i całkowicie rozregulowaną klimatyzacją. Naturalnie, jako naukowiec i wynalazca uważał te fenomeny za nadzwyczaj ciekawe, ale byłyby znacznie bardziej interesujące, gdyby obserwować je z jakiegoś normalnego, miłego wnętrza.

Wewnątrz — miło byłoby się tam znaleźć, choć w przeciwieństwie do większości starych nomów nie bał się Zewnątrz. Ten temat zresztą był rzadko poruszany. W kamieniołomie nie było jeszcze tak źle — z trzech stron miało się solidne skalne ściany, tylko należało pamiętać, żeby nie spoglądać w górę i w czwartą stronę: tam rozciągał się okropny, pusty krajobraz. Mimo to większość starych nomów wolała pozostawać w szopach lub innych zamkniętych przestrzeniach. W ten sposób nie czuli się wystawieni i nie mieli nieodpartego wrażenia, że niebo ich obserwuje.

Za to dzieciaki lubiły Zewnątrz, czemu trudno się dziwić, bo Sklep ledwo co pamiętały, i to nie wszystkie. Dla nich tu było normalnie. Młodzi też się szybko przyzwyczaili, zwłaszcza myśliwi i zbieracze. . . zresztą młodzi zawsze lubili udowodniać, jacy to są odważni, zwłaszcza innym młodym. A szczególnie dziewczynom.

Jako rozsądnie myślący nom o naukowym zacięciu, Dorcas doskonale wiedział, że mieszkanie pod podłogą nie jest naturalnym miejscem dla nomów, ale mając prawie siedem lat, przyznawał, że było tam znacznie wygodniej, a poza tym znajome znaki w stylu: „Zadziwiająca Obniżka” albo „Mamucia Przecena Zaczyna się Jutro” wyglądałyby znacznie sympatyczniej. Z racjonalnego punktu widzenia było to, ma się rozumieć, całkowicie nonsensowne.

Podobnie zresztą rzecz się miała z Arnoldem Brosem (zał. 1905) — Dorcas był pewien, że nie istnieje on w takim sensie, jak go uczono, gdy był młody, ale gdy się widzi napisy w rodzaju: „Jeśli nie widzicie tego, czego potrzebujecie, pytajcie proszę”, to wszystko jakoś wydaje się w porządku. A to były nie całkiem właściwe myśli dla racjonalnie myślącego noma.

Przepchnął się przez szczelinę koło drzwi pokoju dyrektora i znalazł się w znajomym półmroku, panującym pod podłogą. Trasę znał na pamięć, więc nie tracąc czasu, pomaszerował do przełącznika, z którego był bardzo dumny. Na zewnętrznej ścianie baraku wisiał duży, niegdyś czerwony dzwonek elektryczny, prawdopodobnie zamontowany tam, by ludzie mogli słyszeć, że ktoś telefonuje, bo przecież w kamieniołomie było z zasady głośno. Dorcas tak zmienił połączenie przewodów, że dzwonek dzwonił wtedy, kiedy on chciał.

A teraz właśnie chciał.

Zanim się wszyscy zbiegli, zaalarmowani dźwiękiem dzwonka, Dorcas przyciągnął z kąta puste pudełko od zapalek, wszedł na nie i poczekał, aż przestrzeń podpodłogowa się zapełni.

— Człowiek wrócił — ogłosił w niezwyklej ciszy. — Nie dostał się do kamieniołomu, ale będzie próbował.

— A . . . a drut? — spytał jakiś głos.

— Obawiam się, że nie tylko my wiemy o istnieniu obcęgów — odparł Dorcas poważnie.

— To by było na tyle, jeśli chodzi o teorię, że ludzie są, no, inteligentni. Ktoś inteligentny wiedziałby, gdzie nie wchodzić i, no, gdzie go nie chcą — oświadczył nagle Nisodemus.

Dorcas spojrział na niego ostro, ale na młodzieńcu nie zrobiło to żadnego wrażenia.

— Ludzie tutaj mogą być inni niż ci w Sklepie — warknął. — Poza tym...

— Dyrektyw, no, jest naszym sądem ostatecznym...

— Jakim sądem?! To zwykły człowiek. — Tym razem Dorcas zignorował wzrok Nisodemusa. — Teraz powinniśmy faktycznie wysłać kobiety i dzieci do...

Przerwał mu gwałtowny tupot, wyraźnie słyszalny w ciszy, i para wartowników wpadła przez szczelinę.

— Wrócił! — wysapał Sacco. — Człowiek wrócił!

— Dobrze, spokojnie — odezwał się Dorcas. — Nie ma co się tym aż tak przejmować...

— Nie! — wrzasnął Sacco, podskakując nerwowo. — Ma obcęgi! Jakieś dziwne: przeciął drut i łańcuch, którym zamknięta była brama, i...

Ciągu dalszego nie usłyszeli.

I nie musieli.

Warkot zbliżającego się silnika samochodowego był wystarczająco wymowny.

Warkot błyskawicznie zmienił się w ryk, od którego zadrżał barak, po czym nagle umilkł, pozostawiając ten rodzaj paskudnej ciszy, która jest gorsza od hałasu. Coś metalicznie jęknęło, łomotnęło niczym metalowe drzwi i... znowu cisza.

A potem dał się słyszeć rozpaczliwy pisk drzwi baraku i kroki, od których deski się ugięły. Każdemu powolnemu tąpnięciu towarzyszyła chmura kurzu osypującego się spomiędzy desek.

Zebrani stali w absolutnej ciszy i bezruchu. Tylko ich oczy poruszały się w rytmie idealnie zgodnym z krokami przemierzającymi pomieszczenie nad nimi.

Coś kliknęło i rozległ się stłumiony, ale jak zwykle niezrozumiały ludzki głos, powoli i basowo hałasujący przez dłuższy czas. Następnie kroki opuściły barak i usłyszeli chrzęst żwiru na zewnątrz. Doszły do tego kolejne hałasy — nieprzyjemne, metalowe.

Raptem odezwał się cichy głosik:

— Mamo, ja chcę do łazienki...

— Ćśśś...

— Ja muszę do...

— Cicho bądź!

Kroki okrążyły barak przy całkowitym bezruchu nomów. . . no, prawie całkowitym: jeden mały nom nerwowo przestępował z nogi na nogę, robił się coraz bardziej czerwony.

W końcu kroki ucichły, łomotnęły metalowe drzwi i ryknął silnik.

Gdy odgłos silnika umilkł w oddali, Dorcas powiedział naprawdę cicho:

— Wydaje mi się, że znów jesteśmy sami.

Odpowiedziało mu kilkaset zgodnych westchnień ulgi.

I jeden rozpaczliwy głos:

— Mamo!

— Już dobrze! Biegnij!

A potem naturalnie wszyscy zaczęli mówić równocześnie. Jednakże jeden głos wybił się zdecydowanie ponad pozostałe:

— W Sklepie nigdy tak nie było! — Nisodemus wlaź na półceglówkę i ciągnął: — Pytam was, czy tego kazano nam się, no, spodziewać?

Odpowiedział mu zgodny chór, z tym że połowa mówiła „tak”, połowa „nie”, co nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia, gdyż ledwie chór umilkł, perorował dalej:

— Rok temu byliśmy bezpieczni w Sklepie. Pytam was, azali pamiętacie Świąteczny Kiermasz? Emporium z Przymakami? Piezonego, no, indyka i szynkę? — Tym razem odpowiedziała mu względna cisza, co wprawiło go w tryumfalny zgoła nastrój. — A teraz cóż? Jest ta sama pora roku, no, oni mówią, że ta sama, a jeść mamy coś, co rośnie w brudzie i nazywa się ziemniak. A mięso? Przecież to nie jest normalne mięso, tylko pocięte, no, martwe zwierzęta! Takiej oto przyszłości chcecie dla waszych, no, dzieci? Mają wykopywać sobie jedzenie?! A teraz każą nam iść do jakiejś stodoły, która nawet nie ma podłogi, pod którą można byłoby żyć, jako zamierzał Arnold Bros (zał. 1905). A dalej zaiste co? Puste, no, pola? A może myślicie, że to jest najgorsze w tym wszystkim? Nie. Powiem wam, co jest najgorsze: no, ci, którzy wydawali nam te wszystkie rozkazy, spowodowali wszystkie nasze kłopoty!

I wskazał gestem Dorcasa.

— Zaraz! Chwileczkę! — zaczął donośnie Dorcas, ale Nisodemus udowodnił, że ma lepsze płuca:

— Wiecie wszyscy, że mam, no, rację! Pomyślcie nad tym! Dlaczegoż, w imię Arnolda Brosa (zał. 1905), musieliśmy opuścić Sklep?

Wśród zebranych zaczęły się dyskusje.

— Może przestałbyś grać durnia! — warknął Dorcas, korzystając z ciszy. — Sklep miał zostać zniszczony!

— Nie wiemy tego, no, na pewno!

— To co wiesz?! Masklin i Gurder widzieli. . .

— A gdzie oni teraz są, co?

— Dobrze wiesz, gdzie są! Poszli na lotnisko. — Dorcas miał tego wszystkiego serdecznie dość: zdecydowanie wolał mieć do czynienia z drutami, one przynajmniej nie wrzeszczały i nie udawały durniów.

— Właśnie: poszli! — Nisodemus syknął, ale ten syk był donośniejszy od krzyku. — Pomyślcie o tym dobrze! Użyjcie, no, umysłów! W Sklepie wiedzieliśmy, co mamy robić, znaliśmy swoje miejsce i wszystko działało tak, jak chciał Arnold Bros (zał. 1905). I nagle cóż? I nagle jesteśmy tu! Pamiętacie, jak gardziliście Przybyszami? A teraz my jesteśmy Przybyszami! I znów zaczyna się panika i powiadam wam, że trwać ona będzie, dopóki się nie poprawimy i Arnold Bros (zał. 1905) w łaskawości swej nie zezwoli nam wrócić do Sklepu, jako dobrym i posłusznym nomom.

— Wyjaśnijmy sobie jedną sprawę — rozległ się nagle czyjś głos. — Powiadasz, że opat nas okłamał?!

— Ależ nic takiego nie powiedziałem — obruszył się pospiesznie Nisodemus. — Ja wam tylko przedstawiam, no, fakty. To wszystko.

— Przecież... przecież opat udał się po pomoc — odezwała się jakaś starsza niewiasta niezbyt pewnym głosem. — I... i jestem przekonana, że Sklep został zniszczony, bo inaczej nie byłoby nas tutaj, prawda? — Rozejrzała się niepewnie.

— Ja tam wiem tylko, że nie podoba mi się ta cała stodoła, o której ostatnio wszyscy tyle mówią — dodał stojący obok niej nom. — Tam nawet nie ma elektryczności!

— Właśnie! A w dodatku ona jest w środku... — dołączył doń kolejny głos, który nagle przycichł i dodał: — no wiecie czego.

— Wiemy — zgodził się stary nom. — Widziałem to. Z miesiąc temu mój chłopak wziął mnie na jagodziarstwo nad kamieniołom i widziałem.

— Z daleka jeszcze pół biedy — dodała niewiasta. — Można na to patrzeć, ale znaleźć się w samym środku... aż mnie ciarki przechodzą.

Dorcas dopiero po chwili zrozumiał, że „to” to otwarta przestrzeń, a dokładniej pole. Fakt, też wolał tam nie wychodzić, ale żeby nie mieć odwagi nazwać czegoś po imieniu?!

— Tu jest całkiem niezłe, przyznaję — powiedział pierwszy nom — ale to wszystko na dworze, zaraz, to się jakoś tak nazywa na N...

— Natura? — podpowiedział Dorcas, obserwując szaleńczo uśmiechniętego Nisodemusa.

— O, właśnie! — ucieszył się pytający. — To właśnie nie jest naturalne! I jest tego zdecydowanie za dużo. Tak nie wygląda właściwy świat, wystarczy tylko popatrzeć. Podłoga nierówna, ścian w zasadzie nie ma, a w nocy gaśnie światło, bo to, co tam błyszczy na suficie, to niczego nie oświetla. Ludzie łążą, gdzie im się podoba, no i żadnych zasad jak w Sklepie.

— Dlatego właśnie Arnold Bros (zał. 1905) stworzył Sklep — wtrącił z błyskiem w oczach Nisodemus. — Jako właściwe, no, miejsce dla nas.

Dorcas nieznacznie złapał Sacca za ucho i przyciągnął je wraz z właścicielem do siebie.

— Wiesz, gdzie jest Grimma? — spytał cicho.

— A tu jej nie ma?

— Jakby była, dawno byśmy już to usłyszeli: ona ma strasznie krótką cierpliwość, gdy słyszy bzdury. Może została w jamie szkolnej z dziećmi, gdy usłyszała silnik. Szkoda. . .

Co prawda nie wiedział dokładnie, o co Nisodemusowi chodzi, ale miał dziwną pewność, że nie jest to ani nic mądrego, ani dobrego.

A co gorsza, zaczęło padać. I to nader paskudnie — Babka Morkie twierdziła, że to się nazywa deszcz ze śniegiem. W praktyce było to coś pośredniego między wodą a lodem, można by powiedzieć, że deszcz z kośćmi. Najgorsze, że znajdował on jakąś drogę do miejsc, do których nie docierał normalny deszcz.

Jedyną jego dobrą stroną było skuteczne zakończenie zebrania.

Dorcas zorganizował ekipy do kopania odpływów i podłączył kilka dużych żarówek, dających oprócz światła także sporo ciepła. Zebrali się pod nimi starzy, kichając i narzekając. Babka Morkie robiła co mogła, by ich podnieść na duchu, ale tym razem Dorcas wolałby, żeby po prostu nic nie robiła. A zwłaszcza nic nie mówiła.

— To nic — perorowała Babka radośnie. — Pamiętam Wielką Powódź, to było coś! Zalała naszą jaskinię i przez parę dni byliśmy mokrzy niczym przytopione szczury! Ani suchego ubrania, ani ognia. To ledwie siąpi!

Po wysłuchaniu tej rewelacji sklepowe nomy zaczęły się trząść nie tylko z zimna.

— A przejścia przez pole też nie ma co się bać — dodała promiennie Babka Morkie. — Dziewięć razy na dziesięć nic nie próbuje nikogo zjeść.

— Oj. . . — jęknęła słabo niewiasta, której wynurzeń Dorcas miał okazję wysłuchać wcześniej.

— Setki razy byłam na polu i żyję! Jak się pozostaje cały czas w pobliżu krzaków i dobrze uważa, to nawet nie trzeba dużo biegać — zakończyła Babka Morkie.

Nikomu też nie poprawiła nastroju informacja, że landrower zaparkował akurat na pracowicie obsianym kawałku ziemi. Teraz zamiast poletka były dwie szerokie i głębokie koleiny. W dodatku z samochodu wyciekł olej i teraz wraz z tym, co spadło z nieba, utworzył mieniącą się wszystkimi kolorami powłokę na koleinach i zniszczonych uprawach.

Na bramie zaś założono nową kłódkę i nowy łańcuch.

Nisodemus, naturalnie, każdemu z osobna i wszystkim razem przypominał, jak to dobrze było w Sklepie. Przypominać, na dobrą sprawę, nie bardzo było trzeba, bo wszyscy dobrze pamiętali, że było lepiej. A młodym tyle razy powtarzano, że też doskonale o tym wiedzieli.

Dorcas nie kwestionował tego, tylko wiedział, że Sklepu już nie ma i tego, co było, już nie będzie. Teraz i tutaj mieli ciepło, i wystarczająco dużo żywności, choć niestety istniała ograniczona liczba sposobów przyrządzania królika i ziemniaków. Masklin nie przewidział, że nie wszyscy po opuszczeniu Sklepu wezmą się do kopania, budowania czy łowów oraz że nie będą spoglądali w przyszłość z nadzieją i podniesionym czołem. Młodzi w większości tak właśnie postępowali, ale starzy byli zbyt przywiązani czy też przyzwyczajeni do przeszłości, by zająć się czymś więcej niż narzekaniem. Za to w tym byli naprawdę dobrzy.

Dorcas lubił zajęcia mechaniczne i wynajdywanie różnych rzeczy, toteż na brak zajęć nie narzekał, ale stanowił wyjątek wśród starszego pokolenia, które z własnego, wolnego wyboru nie nadawało się do niczego. Tylko że to nie pomagało mu zrozumieć, o co tak naprawdę chodzi Nisodemusowi.

Dorcas żałował, że Masklin jeszcze nie wrócił.

Albo choćby młody Gurder.

W końcu nie było ich już trzy dni.

W takich sytuacjach jak ta jedynym, co mu pomagało, był widok Jekuba.

Rozdział szósty

- I. Albowiem był na Wzgórzu Smok z Dni, w których tworzono Świat.
- II. Aliści stary i uszkodzony był on.
- III. I był Znak Smoka na nim.
- IV. A Znak ten był: Jekub.

Księga nomów, Jekub, w. I-IV

Jekub był jego małym sekretem. A raczej wielkim sekretem, jeśli chodzi o gabaryty. I nikt o nim nie wiedział, nawet jego asystenci.

Zacząło się to pewnego letniego dnia, gdy Dorcas samotnie penetrował wielkie, na wpół zrujnowane baraki znajdujące się po drugiej stronie wyrobiska. Nie szukał niczego konkretnego, ale nigdy nie wiadomo, kiedy znajdzie się coś, co może się przydać (w skrócie przydasie). Dłuższy czas przetrząsał zakamarki baraku, nim przypadkiem spojrzął w górę.

I zobaczył Jekuba.

Z otwartą paszczą.

Zanim jego wzrok właściwie ocenił odległość, Dorcas przeżył parę naprawdę upiornych sekund.

Potem spędził z Jekubem wiele czasu, dowiadując się o nim wielu interesujących rzeczy. Bo Jekub był bez dwóch zdań „on”, a nie „to”. Groźny, stary i ranny niczym smok, który to właśnie miejsce wybrał na swe ostatnie leże. Albo jak te wielkie zwierzaki, co mu kiedyś Grimma pokazała w jednej takiej książce... jak im było?... Zaraz... dyniożarły. Właśnie: dyniożarły.

Jekub nie narzekał, nie pytał w kółko, dlaczego Dorcas jeszcze nie wynalazł radia, i w ogóle zachowywał się spokojnie. Dorcas spędzał z nim wiele godzin i nareszcie miał z kim pogadać. Był najlepszym partnerem do rozmowy, jakiego Dorcas w życiu spotkał, ponieważ nigdy nie trzeba było słuchać z kolei jego.

Tym razem jednak Dorcas był u Jekuba nader krótko — wszystko dziś szło na opak i nie mógł sobie pozwolić na stratę czasu. Należało odszukać Grimme — mimo że dziewczyna, potrafiła myśleć logicznie. W przeciwieństwie do większości nomów płci męskiej, jak się okazało.

* * *

Jama szkolna znajdowała się pod podłogą baraku z napisem „Kantyna” na drzwiach i była prywatnym światem Grimmy, która wynalazła szkoły dla dzieci. Jej rozumowaniu trudno było cokolwiek zarzucić — skoro pisanie i czytanie nie są łatwe do opanowania, to najlepiej nauczyć się ich wcześniej, gdy wszystko jest prostsze i łatwiejsze.

Tu także znajdowała się biblioteka.

W ostatnich gorączkowych godzinach ewakuacji Sklepu udało im się wynieść ze trzydzieści książek. Niektóre były nader użyteczne, na przykład: „Ogrodnictwo przez cały rok” było stale kartkowane, a „Podręcznik dla inżyniera amatora” Dorcas znał prawie na pamięć. Niestety, część była... cóż, trudna, nazywając to łagodnie, i nikomu do niczego niepotrzebna, toteż prawie ich nie otwierano.

Grimma stała przed taką właśnie książką, gdy Dorcas wszedł, i wpatrywała się w otwarte strony, przygryzając kciuk, co robiła zawsze, ilekroć się nad czymś poważnie zastanawiała.

Dorcas zawsze podziwiał, w jaki sposób czytała — nie dość, że najszybciej ze wszystkich, to w dodatku miała zaskakującą umiejętność zrozumienia tego, co czyta.

— Nisodemus zaczął rozrabiać — oznajmił, siadając na jednym ze stołów. — Będą kłopoty.

— Wiem, słyszałam — odparła nieco półprzytomnie, złapała oburącz brzeg kartki i z pewnym wysiłkiem przewróciła ją.

— Nie wiem, co on chce przez to zyskać — ciągnął Dorcas.

— Władzę. — Tym razem jej głos był całkowicie przytomny. — Mamy obecnie, widzisz, próżnię władzy.

— Nie mamy — sprzeciwił się Dorcas. — Żadnego tu nie widziałem, choć w Sklepie stało ich dużo. „69.95 z Wieloma Dodatkowymi Końcówkami do Czyszczenia Całego Domu!”

Westchnął na wspomnienie znajomego napisu.

— Wydaje mi się, że nie mówimy o tym samym — zauważyła delikatnie Grimma. — My mamy sytuację, w której nikt nie rządzi, właśnie o tym czytałam.

— Ja tu rządę, prawda?

— Nie, bo nikt cię tak naprawdę nie słucha.

— Och, serdeczne dzięki.

— To nie twoja wina. Masklin, Gurder czy Angalo mają coś, czego tobie brakuje, i dlatego im się to udaje, tobie nie: potrafią przykuć uwagę słuchaczy.

— Aha. — Dorcas nie był przekonany.

— Ty za to potrafisz spowodować, żeby śruby i druty cię słuchały, a to jeszcze rzadsza umiejętność.

Dorcas zastanowił się nad tym i musiał przyznać, że choć sam by tak tego nie ujął, była to niezaprzeczalna prawda. Po chwili zdecydował, że był to też komplement.

— Kiedy nagle pojawia się dużo różnych problemów, z którymi nikt nie wie, co zrobić, zawsze znajdzie się ktoś gotów na wszystko, byle tylko zdobyć władzę — dodała.

— Nie szkodzi: kiedy oni wrócą, na pewno znajdą rozwiązanie, a Nisodemus dostanie wycisk, a nie władzę. — Dorcas starał się mówić radośniej, niż myślał.

— Tak, oni... — Grimma nagle zamilkła, a Dorcas dopiero po chwili zauważył, że drżą jej ramiona.

— Co się stało? — zaniepokoił się.

— To już całe trzy dni! — zaszlochała. — Nikt dotąd nie był na dworze tyle czasu! Coś im się musiało stać!

— No... mieli odszukać Wnuka, 39, a nie wiadomo ile to...

— A ja byłam dla niego taka paskudna! Powiedziałam mu o żabach, a on był w stanie myśleć tylko o skarpetkach!

Dorcas w osłupieniu wysłuchał tej rewelacji, nie mając pojęcia, co wspólnego mają żaby ze skarpetkami. Gdy rozmawiał z Jekubem, żadne żaby nigdy się nie plątały przy rozmowie.

— He? — zauważył na wszelki wypadek.

Wstrząsana szlochami Grimma streściła mu ostatnią rozmowę z Masklinem, dodając na koniec:

— I jestem pewna, że nawet nie zaczął rozumieć, o co mi chodzi! Ty zresztą też nie...

— Wydaje mi się, że chodziło ci o to, że świat był taki prosty, aż tu nagle zrobił się pełen zadziwiająco interesujących rzeczy, których nie zobaczysz i nie zrozumiesz do śmierci! Jak biologia. Albo, dajmy na to, klimatologia. Weźmy na przykład mnie: zanim wyście się zjawili, bawiłem się różnymi rzeczami i tak naprawdę to nie wiedziałem nic o świecie. — Dorcas spojrzął na swoje buty i przyznał: — Nadal jestem ignorantem, ale w ważnych sprawach, i zdaję sobie z tego sprawę. Nie wiem, co to jest słońce albo dlaczego pada deszcz... O tym właśnie mówiłaś.

Uśmiechnęła się lekko i pociągnęła nosem — tylko jedno jest gorsze od kogoś, kto cię nie rozumie, mianowicie ktoś, kto rozumie cię doskonale, ponieważ nie można mu się wówczas poskarżyć, jak to źle być nie rozumianym.

— Problem w tym — powiedziała — że on nadal myśli o mnie jak o tej osobie, którą znał, gdy mieszkaliśmy w jednej norze przed przybyciem do Sklepu. Cały czas gotującej, cerującej, opatrującej rany gdy ktoś... komuś coś się... coś się...

— No, tylko spokojnie. — Dorcas nigdy nie wiedział, co ma zrobić, kiedy inni zachowują się dziwnie.

Kiedy maszyny zachowują się dziwnie, to się je oliwi albo czyści, albo gdy już nic innego nie skutkuje, to wali się młotkiem. Nomy oliwione czy walone młotkiem nie reagowały właściwie.

— A jak on nigdy nie wróci? — spytała, ocierając oczy.

— Oczywiście, że wróci! — oburzył się Dorcas. — W końcu co niby mogłoby mu się przydarzyć?

— Mógł zostać zjedzony, przejechany, rozdeptany, wysadzony, złapany albo spadnięty — wyliczyła jednym tchem.

— No tak, ale poza tym?

— Nie przejmuj się: pozbieram się — obiecała, prostując się. — Żeby po powrocie nie mógł powiedzieć, że ledwie go parę dni nie było, a już wszystko się zaczęło rozłazić w szwach.

— Całe szczęście! — odetchnął Dorcas. — To właściwe podejście. Jak się ma wystarczająco dużo zajęć, to się nie myśli o bzdurach, zawsze tak mówiłem. Jak się nazywa ta książka?

— „Skarbnica przysłów i cytatów”.

— Och, jest tam coś pożytecznego?

— A to zależy.

— Od czego? Co to w ogóle jest „prysłowie”?

— Nie jestem do końca pewna: niektóre są bez sensu. O, wiesz, że ludzie myślały, że świat został zrobiony przez jednego takiego dużego człowieka. W tydzień.

— To musiał mieć pomocników — ocenił fachowo Dorcas, mając na myśli Jekuba: z jego pomocą w tydzień można było naprawdę wiele zrobić.

— Nie. Sam to zrobił.

— Hmm. — Dorcas zamyślił się głęboko: taka trawa, na przykład, nie była wcale trudna... ale z drugiej strony masa różnych rzeczy psuła się co roku i trzeba je było wiosną naprawiać. — Wątpię, prawdę mówiąc. Roboty to tu jest na ładnych parę miesięcy. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to tylko ludzie mogli w coś takiego uwierzyć.

Grimma odwróciła następną kartkę.

— Masklin wierzył... to jest wierzy — poprawiła się pospiesznie — że ludzie są znacznie mądrzejsi, niż sądzimy. Szkoda, że nie możemy ich właściwie zbadać, jestem pewna, że wiele byśmy się nauczyli o... .

Ponownie rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka.

Tylko tym razem uruchomił go Nisodemus.

Rozdział siódmy

II. I rzekł im Nisodemus: „Zdradzono cię, Ludu Sklepowy!”

III. „Zaprawdę powiadam wam, że fałszywie zostaliście wywiezieni na owo Zewnątrz z Deszczem, Zimnem, Szronem i Ludźmi, jako też z innymi Próbami. I powiadam wam też, że będzie gorzej.”

IV. „Albowiem będzie Śnieg i Mróz, a na Ziemi zapanuje Głód.”

V. „A potem pojawią się Drozdy.”

VI. „Hm.”

VII. „I pytam cię, Ludu Sklepowy, gdzież są ci, co was tu przywiedli?”

VIII. „Rzekli, że idą spotkać się z Wnukiem, 39, a na nas opresje spadają ze strony każdej, ratunku zasię z żadnej oczekiwać nie sposób. Zostałeś wydany na pastwę Zimy, Ludu Sklepowy.”

IX. „Toteż powiadam wam: Czas najwyższy odrzucić zwyczaje Zewnątrz. . .”

Księga nomów, Zażalenie, w. II-IX

— Tak. . . cóż. . . fakt, że to dziwne — przyznał ktoś. Ale prawdą jest, że jesteście na zewnątrz.

— Ale ja mam plan! — ogłosił Nisodemus.

— Aha — zareagowali chórem zebrani: plany były podstawą, i to niezbędną, gdyż wtedy wiedziało się, na czym się stoi.

Grimma i Dorcas przybyli ostatni. Dorcas miał właśnie zamiar przepchnąć się do przodu, gdy dziewczyna go powstrzymała:

— Zobacz, kto za nim stoi!

Za Nisodemusem stała grupka nomów. Większość stanowili Piśmienni, ale były też głowy wielkich rodów. Nie przyglądali się przemawiającemu, lecz tłumowi, a raczej to tłumowi, to jemu — zupełnie jakby kogoś szukali albo na coś czekali.

— To mi się nie podoba! — oceniła cicho Grimma. — Rody i Piśmienni nigdy nie pałali do siebie zbytnią miłością. Skąd ta nagła zmiana?

— Nieroby i malkontenci — burknął Dorcas.

Część Piśmiennych od dawna sarkąta na to, że zwykły nom uczy się czytać. Twierdzili, że z tego przychodzą do głowy różne pomysły, co wcale nie jest dobre, chyba że są to właściwe pomysły. Rody zaś bynajmniej nie były zachwycone

tym, że zwykły nom może iść, dokąd chce i kiedy chce, nie musząc prosić wcześniej o pozwolenie. Praktycznie wszyscy, którzy stracili trochę władzy po Długiej Jeździe, stali teraz za Nisodemusem.

Nisodemus wyjaśnił swój plan.

Im dłużej Dorcas go słuchał, tym bardziej czuł, jak opada mu szczęka.

Plan bowiem na swój sposób był genialny i doskonały — zupełnie jak maszyna, której każdą część wykonano bezbłędnie i precyzyjnie, tylko złożył ją ktoś jedną ręką i po ciemku. Podobnie rzecz się miała z planem — pełen był doskonałych pomysłów, z którymi z osobna dało się zgodzić, ale po pierwsze było ich zbyt wiele, po drugie część była niewykonalna, a po trzecie — niektóre postawiono na głowie.

Generalnie rzecz sprowadzała się do tego, że Nisodemus chciał odbudować Sklep.

Wywołało to pełen przerażenia podziw.

Szczegóły były nieco bardziej skomplikowane.

Otóż tak: opat Gurder miał rację — gdy opuszczali Sklep, zabrali ze sobą Arnolda Brosa (zał. 1905), ale nie fizycznie, tylko w swoich głowach. Dalej: jeśli udowodnią mu, że naprawdę troszczą się o Sklep, to on do nich wróci i rozwiąże ich wszystkie problemy. A potem stworzy nowy Sklep tutaj, w tej niemiłej, zbyt zielonej dolinie.

Przynajmniej tak to odebrał Dorcas, który już dawno temu doszedł do wniosku, że jeśli cały czas słucha się tego, co inni mówią, to nigdy nie ma się czasu, by się domyślić, o co im naprawdę chodzi.

Nisodemus tymczasem tłumaczył, świdrując tłum pałającym wzrokiem, że wcale nie oznacza to konieczności odbudowy całego Sklepu, ale zmianę w kamieniołomie. Czyli: powrót do życia w działach, umieszczenie na ścianach odpowiednich znaków itd. Krótko mówiąc — należy wrócić do Starych, Dobrych Czasów, tak aby Arnold Bros (zał. 1905) poczuł się tu jak w domu.

Sklep należało zbudować we własnych głowach.

Nomy rzadko dostają obłędu — Dorcas pamiętał zaledwie jeden przypadek starszego wiekiem noma utrzymującego, że jest czajnikiem do herbaty. Przestał tak twierdzić, gdy zdecydowano się go wykorzystać w tej roli.

Sądząc po objawach, Nisodemus stanowczo zbyt długo przebywał na świeżym powietrzu.

Widać było, że nie tylko Dorcas tak uważa.

— Nie bardzo rozumiem — odezwał się jeden z nomów wyjątkowo uprzejmie. — Jak Arnold Bros (zał. 1905) ma niby powstrzymać ludzi?

— A czy ludzie wtrącali się i przeszkadzali nam w Sklepie? — spytał w odpowiedzi Nisodemus.

— No cóż... nie, ale...

— Więc zaufajcie Arnoldowi Brosowi (zał. 1905)!

To zdecydowanie był cięższy przypadek niż bycie czajnikiem.

— Jakoś to zaufanie nie przeszkodziło w zniszczeniu Sklepu, prawda? — odezwał się inny głos. — Jak przyszło co do czego, okazało się, że zaufaliście Masklinowi, Gurderowi i ciężarówkom. No i sobie samym! Przestań wreszcie opowiadać bzdury i przeczyć sam sobie! Cały czas powtarzasz, jacy to jesteśmy sprytni. No, to może pozwolisz nam być sprytnymi i myśleć, zamiast robić nam wodę z mózgow?!

Do Dorcasa dopiero teraz dotarło, że głos należy do Grimmy i że jest tak wściekła, jak jeszcze nigdy dotąd.

Grimma przepchnęła się do przodu, aż znalazła się oko w oko, a raczej nos w szyję, ze stojącym na półceglówce Nisodemusem. Należał on bowiem do tych, co to lubią górować nad innymi, stojąc na czymś.

— Powiedz mi, co się stanie — zażądała — jak zbudujemy ten twój Sklep? Mówisz, że ludzie tu nie przyjdą, a więc sam sobie przeczysz, bo do Sklepu przychodzili. A może zaraz powiesz, że nie przychodzili, tylko nam się tak wydawało, co?!

Nisodemus przez chwilę otwierał i zamykał bezgłośnie usta, po czym oznajmił:

— Przychodzili, prawda. Ale stosowali się do Zasad i przestrzegali Znaków. Właśnie, no, przestrzegali! I było lepiej, niż jest.

Grimma spojrzała na niego z politowaniem.

— Nie myślisz chyba, że posłuchamy tego steku bzdur? — spytała pogardliwie.

Odpowiedziała j ej cisza.

— Trzeba przyznać... — odezwał się nieśmiało starszy nom — że faktycznie było lepiej...

I to wszystko, co było słycać.

Jeśli nie liczyć szurania, jakie wywołuje niepewne przestępowanie z nogi na nogę milczących nomów.

* * *

— Po prostu się na to zgodzili! Nikt nawet się nie zająknął na temat Rady i teraz wszyscy posłusznie robią to, co im ten wariat każe! — Grimma wciąż nie mogła się pogodzić ze stanem faktycznym.

Znajdowali się w warsztacie Dorcasa, czyli pod ławką w starym garażu. Pełno tu było kawałków drutu, blachy, a ścianę pokrywały rozmaite szkice wykonane grafitem, który Dorcas zawsze nosił przy sobie. Miejsce to nazywał swoim sanktuarium, ale teraz, słuchając Grimmy i bawiąc się kawałkiem drutu, który skręcał bez celu, wcale nie czuł się bezpieczny.

— Nie powinnaś była na nich krzyczeć — odezwał się cicho. — Mimo że miałaś rację. Wiele przeszli, a jak się na kogoś krzyczy, to głupieje do reszty. A Rada. . . Rada była dobra, jak był spokój. . . teraz bez Masklina, Gurdera i Angala, szkoda gadać.

— Ale żeby tak?! Po tym wszystkim, żeby zachowywać się tak głupio?! I tylko dlatego, że ten szaleniec obiecuje im. . .

— Wygodę i spokój — dokończył Dorcas i potrząsnął smętnie głową: komuś takiemu jak Grimma trudno wytłumaczyć pewne oczywiste sprawy.

Miła dziewczyna i niegłupia, ale uważa, że wszyscy są do niej podobni i chcą tego samego co ona. A tak naprawdę to wszyscy chcą, żeby ich zostawić w spokoju. Świat sam z siebie jest wystarczająco złożony, ci, którzy cały czas chcą go poprawiać, jedynie piętrzą problemy. Masklin dobrze o tym wiedział i zdawał sobie sprawę, że najłatwiej skłonić innych, by robili to, co chce, jeśli nabiorą przekonania, że robią to z własnej, nieprzymuszonej woli. Przeciętne noma momentalnie doprowadzało do odruchowego sprzeciwu wytykanie mu, że jest zbyt głupi, by pojąć rozsądny pomysł. I nie chodzi wcale o to, że nomy są głupie. Chodzi o to, że nomy są. . . nomami.

— Chodź — zaproponował znużony. — Zobaczymy, jak im idzie ze znakami.

* * *

Podłoga jednej z szop została zamieniona na warsztat produkujący znaki. Albo raczej Znaki. Jedyne, w czym Nisodemus był naprawdę dobry, to nazywanie różnych rzeczy dużą literą — można było usłyszeć, jak mówił w ten sposób.

Dorcas, choć niechętnie, musiał przyznać, że Znaki są dobrym pomysłem, i trochę czuł się winny, że sam o nich nie pomyślał.

Dowiedział się o wszystkim, gdy Nisodemus wezwał go i spytał, czy w kamieniołomach jest jakaś farba. Tyle że teraz kamieniołom nazywał się Nowy Sklep.

— Są jakieś stare puszki, głównie czerwonej i białej. Stoją pod jedną z ławek i pewnie dadzą się otworzyć — poinformował go oziębłe Dorcas. — A bo co?

— Bo są potrzebne. Otwórz je, to ważne: musimy uczynić Znaki.

— Znaki, tak? Też ci się zebrało na dekorowanie okolicy. . .

— Znaki na bramę! — przerwał mu Nisodemus gwałtownie.

— Na bramę. . . ? — Dorcas podrapał się w ciemność, przyglądając mu się podejrzliwie.

— Ludzie robią to, co im każą Znaki — wyjaśnił nadspodziewanie spokojnie Nisodemus. — Wiemy o tym od dawna, prawda? Czyż w Sklepie nie postępowali tak, jak kazały im Znaki?

— Większość postępowwała — zgodził się Dorcas, przypominając sobie napis: „Psy i wózki trzeba nieść”; zawsze go zastanawiało, dlaczego większość ludzi nie niosła ani psów, ani wózków.

— Znaki powodują, że ludzie robią różne rzeczy — wyjaśnił niezwykle logicznie Nisodemus — albo też ich nie robią. Tak więc, mój Dorcasie, weźcie się łaskawie do roboty i zróbcie Znaki mówiące „Nie”.

I zanim Dorcas zdążył zaprotestować, że jest swój własny i do tego jeden, Nisodemus odmaszerował. Dorcas zastanawiał się nad tym głęboko, czekając, aż zespoły asystentów podważą wieka puszek z farbami, które były mocno wciśnięte i oblepione zaschniętą farbą. I musiał przyznać, że tym razem zgadza się z Nisodemusem.

Mieli „Kodeks drogowy” zabrany z ciężarówki, a i w samym kamieniołomie było sporo rozmaitych znaków. No i pamiętał większość znaków ze Sklepu.

Poza tym mieli szczęście. Nomy zwykle przebywają na poziomie podłogi, ale Dorcas miał zwyczaj wysyłania zwinniejszych pomocników na górę, a konkretnie na biurko stojące w gabinecie dyrektora, po kawałki papieru, których było tam sporo. Teraz także, chcąc przygotować projekty, wysłał tam Sacca.

Sacco i Nooty wrócili z niespodziewaną rewelacją.

Znaleźli wielką tablicę wiszącą na ścianie, pełną najrozmaitszych znaków.

— Jest ich cała masa — zameldował Sacco, z trudem łapiąc oddech. — Przeczytałem niektóre i tam pisze: „Stosuj się do zasad BHP” i jeszcze: „Są tu dla twojego bezpieczeństwa”.

— Tak pisze? — zadumał się Dorcas.

— Dla twojego bezpieczeństwa — powtórzył Sacco.

— Da się to zdjąć?

— Obok jest hak na ubrania. — Nooty aż przepelniał entuzjazm. — Założę się, że uda się o niego zaczepić kotwiczkę i jak się zacznie od strony okna i . . .

— Doskonale — przerwał jej Dorcas, wiedząc z doświadczenia, że Nooty we wspinaniu się może konkurować z wiewiórkami. — Widzę, że sobie poradzicie. No, to do dzieła!

Na Nisodemusie największe wrażenie wywarł Znak „Są tu dla twojego bezpieczeństwa”, gdyż — jak twierdził — jasno wskazuje on, iż Arnold Bros (zał. 1905) jest po ich stronie.

I tak wykorzystano każdą deskę czy płat zardzewiałej blachy, pasujący mniej więcej rozmiarami, a nomy oddawały się z zapałem malowaniu, zadowolone, że mają coś konkretnego do roboty.

* * *

Następnego dnia słońce oświetliło bramę obwieszoną Znakami. Były najrozmaitszej treści i wielkości. Od „Zakaz wjazdu” przez: „Droga ewakuacyjna”, „Niebezpieczeństwo — wstęp tylko w kaskach”, „Uwaga: wybuchy”, „Śliskie, gdy mokre”, „Winda nieczynna”, „Zamknięte: inwentura” aż do: „Uwaga: spada-

jące skały” i „Droga zaaalana”. Oraz dodatkowy, który Dorcas znalazł w książce i z którego był dumny: „Niewypał”.

W ramach szerokiej profilaktyki, czyli na wszelki wypadek, oprócz Znaków bramę zdobił też nowy łańcuch i kłódka tak masywna, że przenieść ją musiały cztery nomy. Dorcas znalazł jedno i drugie w skrzyniach w baraku Jekuba i „zapomniał” o ich założeniu poinformować Nisodemusa. Natrudził się zresztą solidnie: nie chcąc zdradzić miejsca, skąd pochodzą, przez część drogi musiał przeciągnąć je sam.

* * *

Samochód zjawił się koło południa, co obserwowała spora grupa nomów ukrytych w krzakach przy drodze. Wóz stanął, kierowca wysiadł, popatrzył na Znaki i...

...i zebrani przeżyli szok, gdyż ludzie nie mieli prawa się tak zachowywać, a dwadzieścia nomów wyraźnie widziało, jak kierowca zignorował Znaki.

Ba, zerwał część z nich i wyrzucił!

Nawet „Niewypał” wylądował w krzakach, omal po drodze nie strącając Sacca z gałęzi.

Natomiast nowy łańcuch i kłódka wywołały zamierzony efekt: człowiek potrząsnął nimi, potem bramą, podreptał wkoło, a potem odjechał.

W krzakach rozległy się wiwaty, ale nie do końca radosne — skoro ludzie nie zachowywali się tak, jak powinni, to na nic już na świecie nie można liczyć.

* * *

— I to by było na tyle — ocenił posępnie Dorcas po wysłuchaniu relacji spod bramy. — Też mi się ten pomysł nie podoba, ale musimy ruszać do stodoły. Znam ludzi: jak się uprą, to żaden łańcuch ich nie powstrzyma przed wejściem.

— Absolutnie zabraniam komukolwiek uciekać! — rozdarł się niespodziewanie Nisodemus.

— Widzisz, każdy łańcuch da się przeciąć... — zaczął mu łagodnie tłumaczyć Dorcas. — To tylko...

— Cisz! To wszystko twoja wina, stary durniu! — Nisodemus rozdarł się jeszcze bardziej. — To ty założyłeś łańcuch na bramę!

— Pewnie, że ja! Gdyby nie ten łańcuch, człowiek już by tu... coś ty powiedział?! —

— Że to twoja wina: gdybyś nie założył łańcucha, Znaki powstrzymałyby człowieka! Przecież nie można oczekiwać, by Arnold Bros (zał. 1905) pomógł nam, skoro mu nie ufamy!

Dorcas się nie odezwał.

Miał do czynienia z groźnym szaleńcem. I to groźnym dla wszystkich. Był pewien, że w tym wypadku żadna czajnikopodobna kuracja nie ma nawet cienia szans powodzenia. Toteż czym prędzej się wycofał. A gdy znalazł się na zewnątrz, choć było zimno, zrobiło mu się zdecydowanie przyjemniej.

Po chwili jednak oprzytomniał — wszystko szło na opak i w dodatku zmierzano ku katastrofie. Nie mieli żadnego sensownego planu, Masklin nie wrócił, on, Dorcas miał go zastępować, a tymczasem nikt go nie słuchał. . . a najgorsze było to, że jeśli ludzie zjawią się w kamieniołomie, to nawet jakby nie chcieli, muszą ich znaleźć. . .

Coś zimnego wylądowało mu na czole, odruchowo machnął ręką zirytowany.

Będzie musiał porozmawiać z młodszymi — stodoła nie była idealna, ale lepsza od beczynności. Jakby tak iść całą drogę z zamkniętymi oczyma. . . nie, to na nic. Ale może rozwiązałyby problem otwartej przestrzeni. . .

Coś miękkiego i zimnego osiadło mu na karku.

Uniósł głowę i stwierdził zaskoczony, że nie widzi przeciwległego końca kamieniołomu — powietrze pełne było latających białych płatków, których robiło się coraz więcej i więcej. . .

Dopiero po chwili zrozumiał z przerażeniem, na co patrzy.

Padał śnieg!

Rozdział ósmy

VII. I rzekła im Grimma: „Mamy owóz dwie Drogi.”

VIII. Jako to: „uciec lub kryć się.”

IX. I spytali: „To co zrobić powinniśmy?”

X. Tedy powiedziała im: „Powinniśmy walczyć.”

Księga nomów, Kamieniołomy, w. VII-X

To nie była żadna śnieżycza tylko zwykły, przelotny opad, jakich wiele występowało na początku zimy — głównie po to, żeby nikt nie miał cienia wątpliwości, że właśnie zaczęła się zima. Tak przynajmniej twierdziła Babka Morkie.

Posiedzenia Rady nigdy jej specjalnie nie interesowały. W przeciwieństwie do spotkań z innymi starymi nomami, z którymi uwielbiała wymieniać plotki i narzekania, a jeszcze bardziej podnosić na duchu i pocieszać. Obojętnie czy mieli na to ochotę, czy nie.

Teraz dreptała zawzięcie po śniegu, zupełnie jakby stanowił jej własność.

Pozostali przyglądali się jej w pełnej przerażenia ciszy.

— Naturalnie, ma się rozumieć, że to nie jest żaden śnieg — wyjaśniła życzliwie. — W uczciwym śniegu nie da się chodzić, trzeba kopać w nim tunele. Dopiero wtedy jest porządny śnieg.

— I on zawsze... zawsze tak spada z nieba? — upewnił się jeden ze starszych nomów.

— Pewnie! Czasami nawiewa go wiatr, wtedy są wielkie zaspy. Ale nie w każdym miejscu.

— Myśleliśmy... no bo na kartkach... to znaczy w Sklepie... sądiliśmy, że on po prostu pojawia się na różnych rzeczach, ten śnieg. — Mówiący rozejrzał się bezradnie i dodał: — I to wyglądało raczej miło i świątecznie... .

Przez chwilę obserwowali w milczeniu grubiejącą na ziemi białą warstwę i pokrywające niebo chmury, które wyglądały niczym za mocno wypchane poduchy.

— Jedno co dobre, to że nie będziemy musieli iść do tej całej stodoły — dodał nom.

— Ano — przyznała Babka Morkie. — Jak się wychodzi w śnieg, to można się zaziębić i umrzeć. Albo inaczej złapać śmierć.

Informacja ta wywołała kolejną falę narzekań, tym razem przyciszonych, oraz pełne obawy wypatrywanie drozdów czy reniferów.

Śnieg sypał tak, że nie można było dostrzec pól otaczających kamieniołom.

* * *

Dorcas siedział beczynn timer warsztacie i przyglądał się, jak śnieg coraz bardziej przysypuje niewielkie okno, przez co w szopie stawało się coraz bardziej szaro.

— No... — mruknął cicho — chcieliśmy zostać odcięci, to jesteśmy. Nie możemy ani uciec, ani się ukryć. Powinniśmy ruszyć do stodoły, jak było uzgodnione z Masklinem.

Lekkie kroki dobiegające od drzwi oznajmiały powrót Grimmy, która ostatnio sporo czasu spędzała przy bramie. Padający śnieg i ją jednakże w końcu zmusił do szukania schronienia.

— W tym śniegu nie będzie w stanie wrócić — oceniła.

— Fakt — rzekł Dorcas, nie bardzo wiedząc, o co jej tym razem chodzi.

— To już osiem dni.

— Niezły szmat czasu...

— Co mówiłeś, jak weszłam?

— A tak, sam do siebie mamrotałem... Słuchaj, ten cały śnieg to długo leży?

— Czasami parę dni, przeważnie parę tygodni.

— Aha.

— Jak ludzie tu wrócą, zostaną już na dobre — dodała po chwili ciszy Grimma.

— Tak... chyba masz rację... nie. Na pewno masz rację.

— Ilu z nas... zdoła... no wiesz... żyć tutaj?

— Kilkudziesięciu. Jeśli nie będą dużo jeść i będą się kryć w ciągu dnia. I o łowach też należy zapomnieć: wszystkie zwierzęta z okolicy uciekną, jak ludzie będą się tu stale kręcić.

— Ależ nas jest parę tysięcy!

Dorcas wzruszył ramionami.

— Samemu mi trudno chodzić w tym śniegu — przyznał. — Starzy nie dojdą do stodoły, dzieci też nie. A jest ich kilkaset.

— Więc musimy zostać, jak chce Nisodemus.

— Tak. Zostać i mieć nadzieję, tylko nie wiem na co... może na to, że śnieg zniknie... albo że zdołamy uciec w krzaki... albo co...

— Możemy zostać i bić się! — oświadczyła niespodziewanie.

— A to akurat nic trudnego — warknął zirytowany. — Cały czas się kłócimy, aż wstyd słuchać. Podobno taka już nasza natura.

— Nie bić się między sobą, tylko bić się naprawdę! Możemy walczyć z ludźmi o kamieniołom! — wyjaśniła Grimma.

Zapadła bardzo długa cisza.

— My?! — poderwał się w końcu Dorcas. — Z ludźmi?!

— Owszem.

— Przecież... przecież to ludzie!

— No to co z tego?

— Są od nas znacznie więksi!!

— To w nich łatwiej trafić — powiedziała słodko i dodała z niespodziewaną determinacją: — Jesteśmy od nich szybsi, sprytniejsi i wiemy, że istnieją. I mamy element zaskoczenia!

— Element co?! — Dorcas nawet nie próbował ukryć, że się zgubił.

— Element zaskoczenia: oni nie wiedzą, że my tu jesteśmy.

Dorcas przyjrzał się jej podejrzliwie i ocenił:

— Znowu czytałaś jakąś dziwną książkę.

— Przynajmniej nie siedziałam i nie jęczałam, że przyjdą ludzie i mnie rozdepczą i co ja, biedactwo, mam ze sobą zrobić.

— Też miło z twojej strony, ale co konkretnie proponujesz? Walenie ich czymkolwiek w głowę będzie raczej trudne, możesz mi wierzyć na słowo.

— Nie w głowę — odparła rzeczowo.

Dopiero wtedy Dorcas potraktował ją poważnie.

Pomysł był szokująco nowatorski, ale jak się nad nim spokojnie zastanović... w Sklepie była taka książka, z której Masklin wziął pomysł, jak kierować ciężarówką. Nazywała się chyba „Podróże Guliwera” i był tam rysunek leżącego człowieka przywiązanego setkami lin do wbitych w ziemię kołków. A wokół kręciło się kilkadziesiąt nomów. Nawet najstarsi nie pamiętali, aby cokolwiek podobnego kiedykolwiek się wydarzyło, musiało to być więc naprawdę dawno.

Nagle coś mu przyszło do głowy...

— Poczekaj! Jak zaczniemy walczyć z ludźmi... — zaczął i nagle umilkł.

— Tak?! — Grimma nie należała do najcierpliwszych.

— To oni zaczęną walczyć z nami, prawda? Wiem, że nie są specjalnie rozgarnięci, ale w końcu rozumieją, że walczą z kimś, czyli z nami. A wtedy zacznie się odwet. Tak to się nazywa: odwet.

— I dlatego właśnie najważniejsze jest, żebyśmy zaczęli właśnie od odwetu!

Dorcas po krótkim namyśle przyznał jej rację — logiczne było zaczynać od tego, czym ludzie kończą, bo to dawało dodatkową przewagę.

— Zgoda, ale tylko w samoobronie. Nawet w stosunku do ludzi nie będziemy okazywać niepotrzebnego okrucieństwa — zastrzegł na wszelki wypadek.

— Chyba masz rację.

— I naprawdę uważasz, że możemy walczyć z ludźmi?

— Owszem.

- Jak?
- Hmm... — Grimma przygryzła wargę. — Ufasz Saccowi i innym swoim młodym pomocnikom?
- To rozgarnięte chłopaki... dziewczęta też, więc łatwo im Nisodemus nie zamiesza w głowach... no i zawsze są otwarci na coś nowego...
- Doskonale. Na początek będziemy potrzebowali trochę gwoździ...
- Faktycznie musiałaś się nad tym zdrowo zastanowić! — przyznał z podziwem.
- Jednocześnie przyszło mu do głowy, że słynne już humory Grimmy mogły brać się stąd, iż skoro sama czasami tak szybko i głęboko myślała, to miała prawo irytować się na innych, którym ten proces zajmował znacznie więcej czasu. Sądząc z tego, jak wściekła była teraz, prawie było mu żal ludzi, którzy będą mieli pecha stanąć jej na drodze.
- Poza tym też sporo czytałam — dodała zniecierpliwiona Grimma.
- Tak, naturalnie — dodał pospiesznie Dorcas. — Tylko wiesz, tak sobie myślałem, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy troszkę rozsądniej...
- Nie będziemy więcej uciekać — przerwała mu jakimś takim dziwnym tonem, jakby to nie Grimma mówiła. — Będziemy walczyć na drodze, będziemy walczyć przy bramie. Będziemy walczyć w kamieniołomie. I nigdy nie skapitulujemy...
- A co to znaczy „skapitulujemy”? — zainteresował się Dorcas.
- ... gdyż obce jest nam pojęcie kapitulacji!
- Przynajmniej mnie jest obce — zgodził się Dorcas.
- Zapadła cisza, przerwana w końcu przez Grimę:
- Chcesz usłyszeć coś dziwnego?
- Dorcas przemyślał propozycję.
- Zaryzykuję.
- Są o nas książki.
- Takie jak „Guliwer”?
- „Guliwer” był o człowieku, a ja mówię o książkach o nas, a przynajmniej o takich jak my, normalnych rozmiarów istotach, tylko jeszcze nie wiem, czy to o nas, czy nie, bo nie wszystko mi się w nich zgadza. No bo ci, których opisują te książki, noszą czerwone czapki, przeważnie mają białe brody, czasami jakieś upiorne drewniane buty albo skrzydła jak pszczoły. I nazywają się krasnoludki. Aha: ludzie wystawiają im miski z mlekiem, wtedy te całe krasnoludki pomagają im w pracach domowych.
- Z tymi skrzydłami to bujda — ocenił Dorcas. — Za mała powierzchnia nośna.
- I żyją w grzybach... — dodała Grimma.
- Gdzie?! Zdecydowanie niepraktyczne.
- I głównie zajmują się naprawą butów, to jest my się zajmujemy...

— To już lepiej.
— I malujemy kwiaty, żeby miały ładne kolory — dokończyła.
Tym razem Dorcas przyjrzał się jej podejrzliwie.
— Kwiatki sprawdziłem już dawno: kolory mają wbudowane — odparł w końcu urażony. — Bzdury jakieś wypisują w tych książkach.
— Ciekawe dlaczego nie wszystko się zgadza?
— Pojęcia nie mam, bo ja takich tam nie czytam — sarknął Dorcas. — Jak książka nie ma spisu i numeracji części, to nie jest uczciwa książka. A najlepiej gdy ma jeszcze rysunki, jak się co naprawia.
— Jeśli ludzie nas złapią, to tak skończymy: w czapczkach i niewygodnych butach, malując bez sensu kwiatki — zawyrokowała ponuro Grimma. — Nie pozwolą nam być nikim więcej jak krasnoludkami... Miałeś kiedyś wrażenie, że nigdy się nie dowiesz wszystkiego, co powinieneś wiedzieć?
— Owszem: cały czas je mam.
Wyznanie to nieco zaskoczyło Grimę.
— Wiem jedno — przyznała w końcu — kiedy Masklin wróci, musi mieć dokąd wrócić.
— Aha — mruknął Dorcas. — Teraz wreszcie rozumiem.

* * *

W legowisku Jekuba było zimno, a ponieważ często były tu też przeciągi i niezbyt miło pachniało, prawie nikt się tu nie zapuszczał, co Dorcasowi idealnie pasowało.

Bez przeszkód i obaw przedostał się pod plandekę, pod którą spał Jekub, i wdrapał się na swe ulubione miejsce. Nawet za pomocą sznurków, drabinek i pomostów była to długa droga, toteż gdy w końcu dotarł do celu, siadł i poczekał, aż oddech go dogoni.

— Ja przecież tylko chcę pomóc innym — powiedział ze smutkiem, gdy odpoczął. — Dawać takie rzeczy jak prąd i w ogóle... ułatwiać życie. Wiesz, nikt mi za to nigdy nie podziękował... Chcieli, żebym wymalował Znaki, no to wymalowałem. Teraz Grimma chce walczyć z ludźmi... za dużo książek czyta, potem ma takie pomysły, dobrze: wiem, że to wszystko przez to, że chce zapomnieć o Masklinie, ale wspomnisz moje słowa: nic dobrego z tego nie wymknie. Tylko że jak jej nie pomogę, to wynikną z tego jeszcze gorsze rzeczy. Nie chcę nikomu robić krzywdy... wiesz, takich jak ja znacznie trudniej naprawić niż takich jak ty... Tobie to dobrze: śpisz tu spokojnie tyle czasu... .

Nagle zapadła cisza znacznie dłuższa i głębsza niż zwykle przerwy w monologu. W końcu Dorcas powiedział bardzo cicho:

— Tak się zastanawiam... .

Następne całe pięć minut miotało nim pod Jekubem przy wtórze dziwnych komentarzy w stylu:

— To na nic, potrzebny nowy akumulator... to w porządku... powinno wystarczyć, jak się wyczyści... wygląda dobrze... hmm, zbiornik prawie pusty...

Wreszcie Dorcas wymaszerował spod plandeki, zacierając z zadowoleniem dłonie — każdy potrzebuje jakiegoś celu w życiu, by działać. Co prawda niektórzy mają cele zupełnie nienormalne, jak Nisodemus, a inni chcieliby po prostu, żeby Masklin wrócił — jak Grimma, dajmy na to... co konkretnie chciałby osiągnąć Masklin, tego nikt nie wiedział, ale nie ulegało wątpliwości, że było to coś naprawdę wielkiego. Jak się ma cel w życiu, to czuje się, jakby się miało znacznie więcej niż cztery cale wzrostu — przynajmniej ze sześc.

A Dorcas właśnie znalazł sobie taki cel.

* * *

Człowiek wrócił później i tym razem nie sam. Oprócz normalnego samochodu, którym dotąd jeździł, przyjechała też duża ciężarówka z napisem „Blackbury Stone & Gravel PLC” na skrzyni. Koła obu pojazdów, zmieniając śnieg w błyszczące błoto ziemistej barwy, przejechały wąską drogę i zatrzymały się przed bramą kamieniołomu.

Nie było to zręczne hamowanie — tył ciężarówki zarzucił tak, że omal nie wpadła na płot, silnik parsknął i zgasł, a przednie koła powoli i ze świstem sflaczały. Ciężarówka wyraźnie się zapadła. Przynajmniej z przodu.

Wysiadło z niej dwóch ludzi i obeszło wokół, uważnie oglądając wszystkie koła.

— Spłaszczyły się tylko na spodzie — zaniepokoiła się Grimma, wraz z pozostałymi obserwująca wszystko z krzaków.

— Wystarczy — odsyknął Dorcas. — Koła zawsze się spłaszczają na spodzie, taka ich uroda. Zadziwiające, co można osiągnąć za pomocą kilku gwoździ...

Z mniejszego samochodu, który bez ewolucji zatrzymał się za ciężarówką, też wysiadło dwóch ludzi i przyłączyło się do pozostałych. Jeden miał najdłuższe obcęgi, jakie Dorcas w życiu widział. Podczas gdy pozostali skupili się przy jednym z kół, podszedł do bramy, ujął nimi kłódkę i ścisnął. Widać było, że musi się solidnie wyteżyć, ale przeciął kłódkę. Towarzyszył temu dźwięk, który odbił się echem nawet od krzaków. A potem rozległ się przeciągły łoskot opadającego łańcucha.

Dorcas jęknął — wiązał wielkie nadzieje z tym łańcuchem; bądź co bądź należał do Jekuba. No, przynajmniej znajdował się w żółtej metalowej skrzyni przykręconej do Jekuba, to chyba należał. W końcu to nie łańcuch puścił, tylko kłódka, a kłódka leżała w pomieszczeniu Jekuba. To napełniło Dorcasa dziwną dumą.

— Nie rozumiem — oświadczyła Grimma. — Przecież widzą, że nie chcemy ich tutaj, dlaczego ciągle próbują?

— Przecież sama mówiłaś, że nie wiedzą o naszym istnieniu — przypomniał Dorcas. — To skąd mają wiedzieć, że ich tu nie chcemy?!

— A poza tym w okolicy nie ma drugiej takiej masy kamieni — dodał Sacco. Człowiek przy bramie odłożył tymczasem obcęgi i uchylił ją na tyle, by wejść na teren kamieniołomu.

— Idzie do baraku — ocenił Sacco. — Będzie ryczał do telefonu.

— Nie będzie — zaprorokował Dorcas.

— Przecież zadzwoni do Dekreta — sprzeciwił się Sacco. — I po ludzku pewnie będzie mówił tak: „Dlaczego nasze koła zrobiły się sflaczałe?”

— Jeśli już będzie coś mówił, to raczej: „Dlaczego telefon nie działa?!” — Dorcas miał napad jasnowidzenia.

— A dlaczego telefon nie działa? — zainteresowała się Nooty.

— Bo przeciąłem właściwe przewody — odparł Dorcas. — Widzisz, wraca!

Rzeczywiście człowiek wyszedł, i to szybko. Obszedł barak i szopy. Śnieg zamaskował rolnicze wysiłki nomów, za to było na nim wiele śladów ich stóp zmierzających w różnych kierunkach i krzyżujących się ze sobą. Nie zwrócił jednak na nie żadnej uwagi, co nie było niczym dziwnym — ludzie rzadko kiedy zauważają cokolwiek.

— Potykacze — powiedziała nagle Grimma.

— Co? — zdziwił się Dorcas.

— Druty potykacze: powinniśmy rozciągnąć je przy bramie i przy drzwiach. Im kto jest większy, tym ciężiej pada — wyjaśniła.

— Mam nadzieję, że nie na nas — upewnił się Dorcas.

— Nie, na gwoździe.

— Nie przesadzaj!

Ludzie skupieni przy uszkodzonej ciężarówce musieli coś zdecydować, gdyż wrócili do drugiego samochodu — landrowera, jak go Angalo nazwał. Ten z kamieniołomu dołączył do nich. Do przodu jechać nie mogli, ale na wstecznym wycofali się do autostrady, pozostawiając uszkodzoną ciężarówkę i uchyloną bramę.

Dorcas odetchnął z ulgą.

— Już się bałem, że któryś tu zostanie — wyznał.

— Wróć, sam tak zawsze mówiłaś i sprawdzało się za każdym razem. — Grimma nie była w dobrym nastroju. — Zeszyją koła czy jakoś tam je naprawią i wjadą tu.

— Więc lepiej się upewnić, żeby sprawiło im to jak najwięcej trudności — zaproponował Dorcas. — Do roboty!

I pomaszzerował ku ciężarówce, pogwizdując przy tym wesoło ku zdumieniu pozostałych.

— Najważniejsze to zrobić wszystko, żeby nie mogli jej ruszyć — wyjaśnił, podchodząc do ciężarówki. — Dopóki tak stoi, dopóty blokuje drogę i nic nią nie przejedzie. A ludzie na piechotę nie będą się do nas pchali.

— Racja — przyznała Grimma.

— Żeby ją skutecznie unieruchomić, zaczynamy od akumulatora, bez prądu nie pojedzie.

— Pewnie — zgodził się Sacco.

— Akumulator to wielkie plastikowe pudło i żeby go unieść, trzeba co najmniej ośmiu. Tylko mi go nie upuśćcie!

— Dlaczego? — zdziwiła się Grimma. — Jak go rozbijemy, to też nie będzie działał, prawda?

— Eeeee... — Dorcas przez chwilę wydawał z siebie dźwięk do złudzenia przypominający charczącą ciężarówkę. — Nie chcemy, bo, bo, bo on ma kwas! Właśnie, ma kwas i jest niebezpieczny. I dlatego należy z nim ostrożnie i delikatnie, i trzeba go schować w bezpieczne miejsce. Sam go zresztą schowam, znam takie miejsce... Po dwóch do klucza, bo nie ruszycie śrub!

— Co jeszcze możemy zepsuć? — zaciekała się Grimma, gdy odeszli nieco od akumulatora.

— Spuścimy paliwo — oświadczył Dorcas, wchodząc z powrotem pod ciężarówkę.

Była mniejsza niż ta, którą przyjechali ze Sklepu, ale obły zbiornik paliwa znaleźli bez większego trudu. Na znak Dorcasy z krzaków wytoczyła się czwórka młodszych nomów z kilkoma pustymi puszkami.

— Tam gdzieś jest śruba — poinformował ich Dorcas, wskazując pękaty kształt w górze. — Zanim ją odkręcicie, najpierw ustawcie pod spodem puszkę.

Pomocnicy zabrali się do dzieła z entuzjazmem, a ponieważ nomy są urodzonymi wspinaczami, dotarcie na miejsce nie zabrało im wiele czasu. Przy ich sile żadna śruba nie miała szans na długotrwały opór.

— Jak będzie pełna, podstawcie drugą! — krzyknął za nimi Dorcas.

— Po co ci te puszkę? — wymamrotała Grimma jakby do siebie. — Przecież chodzi nam o spuszczenie paliwa z ciężarówki, żeby nie mogła jechać. Sam tak mówiłeś przed chwilą... — Przyjrzała mu się z namysłem.

Dorcas gorączkowo próbował znaleźć wytłumaczenie, namiętnie przy tym mrugając.

— Dłatego dłatego dłatego, że benzyna się łatwo pali i truje rośliny, a nie chcemy truc i palić, więc lepiej mieć ją w puszkach i w... —

— Bezpiecznym miejscu, które znasz — dokończyła podejrzliwie.

— Właśnie. — Dorcas zaczął się pocić. — Doskonały pomysł! Teraz... —

Nie dokończył, bo coś tuż za nimi łupnęło, aż ziemia zadrżała. Okazało się, że był to akumulator.

— Przepraszam, ale się nam wymasknął! — rozległ się z góry głos Sacca. — On jest cięższy, niż mówiłeś!

— Idioci! — oceniła Grimma.

— Właśnie: idioci! — poparł ją Dorcas. — Mogliście go uszkodzić! Złazić natychmiast i zabrać go do kamieniołomu. Ale już!

— Oni mogli uszkodzić nas! — powiedziała z naciskiem Grimma.

— Co? A tak, mogli. Właśnie za to ich objechałem. Mogłabyś ich trochę zorganizować? Masz do tego talent, a to dobre chłopaki, tylko czasami entuzjazm ich ponosi. Wiesz, o co mi chodzi... — zaproponował Dorcas, nie przestając oglądać podwozia.

Grimma rozejrzała się z namysłem, wzruszyła ramionami i skoncentrowała się na nomach stojących skromnie koło akumulatora.

— Nie stójcie jak kołki w płocie! Zabierajcie to do płotu, nie słyszeliście, co Dorcas mówił?! Nie tak... użyjcie dźwigni! Zdziwiający, co da się za ich pomocą osiągnąć! Używaliśmy ich w Długiej Jeździe... — Grimma nagle zamilkła i przyjrzała się uważnie Dorcasowi stojącemu pod silnikiem: coś jej zaczęło świecić. — Och, zanieście go za płot!

I pobiegła do Dorcasa.

Ten stał z zadartą głową, przyglądając się zardzewiałej rurze wydechowej. Wyraźnie słyszała, jak mówi sam do siebie:

— To co byśmy jeszcze potrzebowali?

— A do czego? — spytała cicho.

— Żeby pomóc Jek... — Dorcas urwał i odwrócił się wolno. — Żeby ją całkowicie unieruchomić. To właśnie miałem na myśli. Całkowicie.

— Tak przypadkiem nie chodzi ci po głowie pomysł przejechania się tą ciężarówką? — spytała podejrzenie spokojnie.

— Nie wygłupiaj się! Dokąd niby miałbym nią jechać?! Bo przez pole do stodoły w żaden sposób się nie da: nie przejedzie — zdziwił się szczerze.

— Aha... tak sobie tylko myślałam.

— Chcę się po prostu dokładnie rozejrzeć. Czas spędzony na uczeniu się nigdy nie jest stracony — oznajmił pompatycznie i nie czekając na jej reakcję, wyszedł spod ciężarówki, spojrzął w górę i dodał: — No proszę...

— Co: proszę?

— Zostawili otwarte drzwiczki, pewnie dlatego, że mają zamiar zaraz wrócić...

Grimma spojrziała w górę — drzwi do kabiny były lekko uchylone.

Dorcas z błyskiem w oku rozejrzął się po krzakach.

— Pomóż mi poszukać jakiegoś kija, po którym da się wspiąć. Rozejrzymy się w kabinie.

— Po co się tam mamy rozglądać? Co chcesz znaleźć? — zdziwiła się Grimma.

— Nigdy nie wiadomo, dopóki się nie zacznie szukać — odparł filozoficznie, zaglądając pod ciężarówkę. — Jak wam tam idzie? Przydałaby mi się pomoc...

Po chwili spod wozu wymaszerował nieco chwiejnie Sacco.

— Akumulator jest za płotem, pierwsza puszka też. Druga jest prawie pełna, a z góry leci i leci — zameldował, zataczając się. — I strasznie śmierdzi.

— Nie da się przykręcić z powrotem tej śruby?

— Nooty próbowała, teraz nadaje się wyłącznie do prania i wietrzenia.

— To niech leci na drogę — zdecydował Dorcas.

— Zaraz! Mówiłeś, że to niebezpieczne, bo pali i truje! — sprzeciwiła się Grimma. — To co: jest niebezpieczne do czasu napełnienia puszek, a potem już nie?!

— Chciałaś, żebym unieruchomił ciężarówkę, to ci ją unieruchomiłem. — Widać było, że Dorcas podjął ważną decyzję. — Więc uprzejmie się zamknij, co?

Grimma spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

— Co powiedziałaś? — spytała niepewnie.

Dorcas przełknął ślinę i umocnił się w podjętej decyzji. Skoro i tak ciągle ktoś na niego wrzeszczał, głównie Grimma, to postanowił w końcu dać jej do tego powód.

— Powiedziałem, żebyś się zamknęła — powtórzył cicho, ale wyraźnie. — Nie lubię być nieuprzejmy, ale ty tak na mnie działasz. Nie tylko zresztą na mnie i ktoś ci to w końcu powinien powiedzieć. Pomagam ci, bo chciałaś, nie proszę cię o pomoc, ale mogłabyś chociaż nie przeszkadzać mi w tym, co robię, a nie cały czas coś podejrzewać. Poza tym nigdy nie mówisz „proszę” czy „dziękuję”. Ludzie są podobni do maszyn: na nich takie słowa działają jak smar. Lepiej pracują, jak je słyszą. To by było na tyle.

I ignorując czerwoną jak pomidor Grimnę, spytał Sacca i kilku innych, którzy zjawili się w tym czasie, choć pewnie woleliby się spóźnić:

— Znajdźcie mi jakąś gałąź, po której dałoby się wejść do szoferki.

O mało się nie pozabijali, żeby to zrobić.

Rozdział dziewiąty

IV. I spytali młodzi namowie: „Azaliż naprawdę będziemy jako ojcowie nasi jechali Ciężarówką?” I pytali także: „Jak to było?”

TV. I rzekł im Dorcas: „Było to straszne.”

V. Wszakże tak właśnie było.

Księga nomów, Dziwne żaby, w. III-V

Kabina wyglądała prawie tak samo jak ta, w której przyjechali tu ze Sklepu, i Dorcasowi stanęły przed oczami wspomnienia.

Pozostałym oczy stanęły w ślup.

— I wszyscy jechaliśmy w czymś takim? — Sacco pierwszy odzyskał zdolność mowy.

— Całe siedemset nomów — odparł dumnie Dorcas. — A wśród nich twój ojciec. Ty z matką jechaliście z tyłu. Wszyscy zresztą tam jechaliście, chłopaki.

— Ja nie jestem chłopak — przypomniała Nooty.

— Przepraszam, ciągle zapominam, za moich czasów dziewczęta głównie przebywały w domach... — przyznał Dorcas i dodał pospiesznie: — Nie żebym miał cokolwiek przeciwko wolno chodzącym i pomagającym. Były tylko były trochę bardziej usłuchane...

— Szkoda, że wtedy nie byłam starsza — westchnęła z żalem Nooty. — Też bym tu jechała... to musiało być niezwykłe.

— W życiu się tak nie bałem, jeśli o to ci chodzi — wyznał Dorcas.

Wszyscy rozeszli się po kabinie, rozglądając się niczym turyści w katedrze. Nooty pierwsza otrząsnęła się z podziwu i spróbowała coś ruszyć. Konkretnie próbowała nacisnąć pedał gazu.

— Zadziwiająco — sapnęła, gdy wysiłek nie dał żadnego rezultatu.

— Sacco, wdrap się na górę i wyjmij kluczyki ze stacyjki — polecił Dorcas. — A reszta przestaje się szwendać i bierze się do roboty. Ludzie mogą lada chwila wrócić. Nooty, przestań warczeć. Jestem pewien, że rozsądne dziewczęta nie udają ciężarówek.

Sacco wdrapał się po kolumnie kierownicy, wyszarpnął kluczyki i zjechał w dół. Reszta wciąż kręciła się po kabinie.

Grimmy z nimi nie było — nie chciała wejść do kabiny. W ogóle zrobiła się nader cicha i miała dziwną minę. Co i tak nie zmieniało pewności Dorcasa, że w końcu należało jej powiedzieć to, co powiedział. Zastanawiając się, co jeszcze mogłoby się Jekubowi przydać poza akumulatorem i paliwem, rozejrzał się po kabinie. Uznał, że nic, i polecił:

— Wsiadamy! Słyszycie wszyscy?... Nooty, przestań ciągle coś ruszać, bo i tak nic z tego nie wyjdzie: żeby ruszyć dźwignię skrzyni biegów, trzeba by nas wszystkich. Dobra, wsiadamy, zanim ludzie wrócą. — Doszedł do drzwi, gdy za plecami usłyszał ciche pstryknięcie. — Powiedziałem: idziemy... co wy wyprawiacie?!

Zapytani spojrzeli na niego niewinnie.

— Sprawdzamy, czy zdołamy poruszyć tę dźwignię biegów — poinformowała go Nooty zdziwiona. — Jak się tu naciśnie... .

— Nie ruszaj tego przycisku!!

Grimma się zorientowała, że coś jest nie tak, słysząc niemiłe odgłosy zgniatania i widząc zmianę oświetlenia — ciężarówka ruszyła, i to do tyłu. Wolno, gdyż przednie koła były pozbawione powietrza, ale droga biegła stromo i nie groziło, że się zatrzyma. Poza tym to, że jeszcze ruszała się wolno, nie znaczyło, że dalej też tak pojedzie: było w niej coś wielkiego i niepowstrzymywalnego.

Przeżrana spojrzała w dół drogi.

Aż do autostrady biegła między porośniętymi trawą i krzakami nasypami. Za to na autostradzie wiodła prosto ku szynom kolejowym.

* * *

— Mówiłem, żebyś tego nie ruszała! Kazałem ci to nacisnąć? Kazałem ci tego nie ruszać, do cholery! To nie dźwignia biegów tylko ręczny hamulec, idioci! — ryknął Dorcas.

Pozostali przyglądali mu się z otwartymi ustami — nigdy dotąd nie widzieli go w takim stanie. Dopiero gdy umilkł, usłyszeli odgłos rozgniatania. A potem poczuli wstrząs.

— Eee... — Sacco zebrał się na odwagę. — A do czego jest ręczny hamulec?

— Żeby się zatrzymywać na zboczach wzgórz takich jak to. Nie stójcie jak kołki, tylko pomóżcie mi go z powrotem zaciągnąć.

Kabina zaczęła się łagodnie kołysać, w miarę jak ciężarówka się poruszała. Hamulec nie chciał się ruszyć i Dorcas przestał pchać, gdy przed oczyma zaczęły mu latać purpurowo-błękitne płatki.

— Tylko nacisnęłam ten przycisk i sam spadł — paplała zdenerwowana Nooty. — Nie wiedziałam, że to tak działa... .

— Już dobrze, dobrze... — mruknął Dorcas, rozglądając się gorączkowo.

Potrzebował dźwigni i z pół setki nomów. A nade wszystko jak najszybciej znaleźć się jak najdalej stąd. Podłoga zaczęła się mocniej kołysać, Dorcas podszedł, a raczej zatoczył się do drzwi, i ostrożnie wyjrzał. Krzaki na nasypie przesuwały się powoli, jakby im się nigdzie nie spieszyło, natomiast nawierzchnia drogi była już zamazaną smugą.

Jedyne, co im pozostało, to skakać — jak będą mieli szczęście, to sobie niczego nie złamią, a jak będą mieli jeszcze większe szczęście, to uda im się umknąć przy tej okazji rozjechania. O tym, ile ostatnio sam ma szczęścia, wołał nie myśleć.

— Jakbyśmy tak skoczyli z rozbiegu. . . — Sacco zajrzał mu przez ramię.

Tył ciężarówki trafił w nasyp, odbił się i z szarpnięciem wóz potoczył się dalej.

— Z drugiej strony to może nie być taki najlepszy sposób — dodał pospiesznie Sacco. — To co powinniśmy zrobić, Dorcas?

— Trzymać się — polecił zapytany, wstając z podłogi. — Nasypy powinny utrzymać wóz na drodze, a jak zjedziemy ze stoku, w końcu gdzieś się sam zatrzyma.

Kolejny wstrząs spowodował, że siadł z rozmachem i po namyśle pozostał w pozycji siedzącej.

— Chcieliście wiedzieć, jak wyglądała jazda w szoferce — dodał po chwili. — No, to teraz wiecie.

Znowu podskoczyli, a zaraz potem gałąź rosnącego w pobliżu drzewa złapała drzwi, otworzyła je gwałtownie z metalicznym zgrzytem, a później wyrwała z trzaskiem.

— Naprawdę? — ucieszyła się Nooty, przekrzykując hałas.

Dorcas przyjrzał się jej zaskoczony i stwierdził, że dziewczyna zdaje się doskonale bawić. Najwyraźniej młode pokolenie nie boi się wielu rzeczy, które nawet jego napawały strachem. Może naprawdę byli lepiej przygotowani do życia w wielkim, otwartym świecie.

Dorcas odchrząknął.

— Nie licząc tego, że było ciemno i tylko część widziała, gdzie jedziemy, to reszta mniej więcej się zgadza — odparł, siląc się na spokój. — Teraz łapcie się, czego się da, ale mocno, bo coś mi się wydaje, że zacznie porządnie rzucać.

* * *

Ciężarówka dotarła do krzyżówki z szosą i przejechała przez nią, nie zwalniając. Za to kilka samochodów na autostradzie wykonywało dziwne manewry, by na nią nie wpaść, a jadąca z przeciwka ciężarówka zatrzymała się z piskiem hamulców na końcu czterech długich śladów stopionej gumy na mokrej nawierzchni. Po

przejechaniu przez autostradę ciężarówka potoczyła się dalej, prosto ku torom kolejowym. A na przejeździe właśnie opuszczano błyskające czerwonymi lampkami zapory...

* * *

Obecni w kabinie przejazd przez autostradę odczuli jedynie jako dwa kolejne wstrząsy. Sacco, zaintrygowany, wyjrzał przez otwarte drzwi.

— Właśnie przecięliśmy szosę — oznajmił.

— Aha — mruknął Dorcas.

— O, właśnie jeden samochód wjechał w tył drugiego, a ciężarówka stanęła w poprzek drogi — kontynuował Sacco.

— Mieliśmy szczęście, tu się roi od piratów drogowych.

Ciężarówka odczuwalnie zwolniła, coś trzasnęło, najwyraźniej łamiąc się, podskoczyła jeszcze parę razy i po kolejnym wstrząsie znieruchomiała.

W nagłej ciszy wyraźnie dał się słyszeć niski, przeciągły ryk.

Nomy słyszą nieco inaczej niż ludzie — to, co dla ludzi jest przeraźliwie wysokim jękiem alarmu, im przypomina basowe dzwonienie starego dzwonu bijącego na pogrzebową nutę.

— Stoimy — ocenił Dorcas, równocześnie dochodząc do wniosku, że jest już za stary na takie eskapady: powinien pomyśleć o użyciu pedału hamulca. — Dalej, nie ma na co czekać, trzeba się stąd wynosić. Do ziemi nie jest daleko, można skakać! Przynajmniej wy, młodzi, możecie.

— A ty? — spytał Sacco.

— Poczekam, aż się znajdziecie na dole, a potem będziecie mnie łapać — wyjaśnił mu uprzejmie Dorcas. — Nie jestem już taki młody, żeby ryzykować skręcenie karku. Teraz jazda: nie ma na co czekać.

Nikt nie skakał — opuścili się kolejno z progu na zwirową nawierzchnię, dzięki czemu nikt sobie nawet kostki nie skręcił. Dorcas siadł na stopniu, przerzucił nogi na zewnątrz i znieruchomiał, spoglądając w dół.

To naprawdę było daleko.

— Sacco... — Nooty rozejrzała się nieco nerwowo.

— Co się stało?

— Popatrz no na tę metalową szynę.

— Patrę i co?

— Ano to, że tam jest następna — wskazała palcem.

— Widzę. I co z nimi? Nic nie robią, nie poruszają się, nic tylko leżą.

— Ale my jesteśmy dokładnie między nimi: na samym środku. Myślałam, że powinnam ci powiedzieć, tak na wszelki wypadek. No i ten dzwon cały czas dzwoni.

— A to sam słyszę — zirytował się Sacco — trudno go nie słyszeć, tak mi we łbie huczy.

— Zastanawiam się, dlaczego tak hałasuje.

— Kto to może wiedzieć. — Sacco wzruszył ramionami. — Dorcas, zejdź proszę! Nie mamy całego dnia.

— Właśnie się zbieram w sobie.

— To zbierz się szybciej. . .

Nooty odeszła kawałek od pozostałych, przyglądając się jednej z szyn. Była prosta, metalowa i błyszcząca. I zdawała się śpiewać.

Było to nienormalne — zazwyczaj metal nie śpiewa. Pochyliła się, nasłuchując, i spojrzała na ciężarówkę stojącą w poprzek torów. Powoli coś straszego zaczęło formować się w jej umyśle.

— Sacco! — wrzasnęła. — Jesteśmy na torach! Na torach kolejowych!

Niedaleko coś wydało głęboki, przejmujący dźwięk, a raczej dwa dźwięki, z tym że jeden był głębszy i bardziej przejmujący niż drugi.

Bum — BUM.

* * *

Bum — BUM.

Stojąca przy bramie Grimma miała doskonały widok na drogę, szosę i tory kolejowe, toteż od razu zauważyła ciężarówkę i pociąg.

Pociąg także dostrzegł ciężarówkę, ale za późno. Nagle zaczął przeraźliwie piszczeć, jak to zwykle robią dwa trące o siebie kawałki metalu, i rzeczywiście mocno zwolnił. Prawdę mówiąc, jechał już całkiem wolno, gdy uderzył w ciężarówkę. Zdołał nawet pozostać na torach po zderzeniu.

Za to ciężarówka odskoczyła i spadła na pobocze, tyle że nie całkiem kompletna — jej kawałki poleciały we wszystkie strony niczym wysadzone w powietrze.

Rozdział dziesiąty

I. I rzekł im Nisodemus: „Wątpicie, że zdolny jestem powstrzymać moc Dekreta?”

II. I odrzekli mu: „Hm...”

Księga nomów, Kamieniołomy, w. I-II

Huk towarzyszący zderzeniu wywołał zbiegowisko pod bramą. Tłum gęstniał z sekundy na sekundę, toteż nie mogło w nim naturalnie zabraknąć Nisodemusa.

— Co się stało?

— Wszystko widziałem — odezwał się nom w średnim wieku. — Byłem na warcie i widziałem, jak Dorcas z chłopakami wsiedli do ciężarówki. A potem ona ruszyła tyłem i zjechała ze stoku, i przejechała przez szosę, i stanęła na samiutkich torach. A potem...

— Zabroniłem grzebania w tych piekielnych machinach — przerwał mu oburzony Nisodemus. — I zakazałem wystawiać warty. Warta, jaką nad nami trzyma, no, Arnold Bros (zał. 1905), powinna chyba być wystarczająca dla pokornych nomów!

— Co?... A może... w każdym razie Dorcas mówił, że nie zaszkodzi wyręczać go w drobiazgach — odparł niezbyt wzruszony przemową wartownik. — I powiedział...

— Ja tu rozkazuję! — wrzasnął Nisodemus. — I ja wydaję polecenia! Macie wszyscy mnie słuchać! Czyż nie zatrzymałem ciężarówki dzięki mocy Arnolda Brosa (zał.1905)?

— Nie! — odpowiedziała cicho Grimma, ale i tak słysząc ją było doskonale. — Ty nic nie zrobiłeś. Zatrzymał ją Dorcas, za pomocą gwoździ rozrzuconych na drodze.

Zapadła głęboka, pełna napięcia cisza. W samym jej centrum Nisodemus powoli zbiałał z wściekłości.

— Kłamiesz! — ryknął.

— Nie kłamię, a jak mnie jeszcze raz obrazisz, to ci tak przyleję, że ci mowę odbierze — obiecała rzeczowo — Dorcas naprawdę to zrobił. Podobnie jak wiele

innych rzeczy, by pomóc nam wszystkim, i nikt mu nigdy za to nie podziękował. A teraz nie żyje.

Na dole przy stojącym pociągu zrobiło się spore zamieszanie. Słysząc było syreny i widać było coraz więcej samochodów z błyskającymi niebieskimi światłkami na dachach.

Na górze tymczasem zrobiło się jeszcze nieprzyjemniej. W końcu ktoś powiedział:

— On tak naprawdę nie jest martwy, no nie? Pewnie wyskoczył w ostatniej chwili — Dorcas jest sprytny, nie dałby się tak zaskoczyć. . .

Grimma spojrzała bezradnie na tłum, w którym znajdowali się rodzice Nooty. Byli tak cichą i spokojną parą, że praktycznie nigdy z nimi nie rozmawiała. Teraz też nic nie mówili, ale ich twarze były wystarczająco wymowne. Skapitulowała:

— Może i wyskoczył. . .

— Pewnie, że wyskoczył! — dodał ktoś. — Dorcas nie ma zwyczaju umierać, jak jest potrzebny. Nie ten typ.

Grimma w milczeniu przytaknęła i zajęła się bieżącymi sprawami:

— Teraz nawet ludzi musi zastanowić, co się tu dzieje. Sądzę, że wkrótce odkryją, skąd zjechała ciężarówka, i wtedy tu przyjdą. I jestem pewna, że nie będą zadowoleni.

— Nie boimy się — Nisodemus odzyskał głos. — Stawimy im czoło i pokonamy ich, jako że godni są pogardy. Nie potrzebujemy do tego Dorcasa. Nie potrzebujemy w ogóle niczego poza, no, poza wiarą w Arnolda Brosa (zał. 1905). Gwoździe, też coś!

— Jeśli wyruszyście zaraz — Grimma zignorowała go całkowicie — to pomimo resztek śniegu powinniście bez kłopotów dotrzeć do stodoły. Wątpię, by kamieniołom dłużej był bezpiecznym schronieniem.

Coś w sposobie, w jaki mówiła, wywołało u słuchaczy prawdziwe podenerwowanie. Normalnie albo krzyczała, albo przekonywała i do tego wszyscy już dawno się przyzwyczaili; tym razem mówiła cicho i spokojnie, a tak nigdy dotąd się nie zachowywała.

— Musicie zabrać tyle jedzenia i niezbędnych rzeczy, ile zdołacie, więc nie ma co czekać — dodała. — Ruszajcie jak najszybciej, najlepiej zaraz.

— Nie! — ryknął Nisodemus. — Zabraniam! Nikt nigdzie nie pójdzie!! Nomy małej wiary, czy sądzicie, że Arnold Bros (zał. 1905) opuści was w potrzebie? Ja was, no, ochronię przed ludźmi!

Na dole z zamieszania wyjechał jeden z samochodów z migającym niebieskim światłem na górze, przeciął szosę i zaczął się powoli wspinać ku bramie.

— Z pomocą Arnolda Brosa (zał. 1905) porażę ludzi! — ogłosił Nisodemus.

Zebrani spojrzeli po sobie niepewnie i prawdę mówiąc, nieco nieszczęśliwie: Arnold Bros (zał. 1905) nigdy nikogo w Sklepie nie poraził (cokolwiek by to

zresztą znaczyło). Stworzył Sklep, żeby mogli w nim żyć wygodnie i nie nerwowo, ale poza umieszczeniem Znaków lub ich zmianą tak naprawdę nie mieszał się do niczego. A teraz nagle miał się rozzłościć i zacząć robić ludziom przykrości.

Było to równie dziwne, co niewiarygodne, wywołując ogólne osłupienie.

— Pokonam przeklętych sługusów Dekreta! — wył tymczasem Nisodemus. — Zostanę tu i dam im lekcję, jakiej przenigdy nie zapomną!

Reszta obecnych nie zareagowała, wychodząc ze słusznego założenia, że skoro Nisodemus chce się kłócić z samochodem, to jest to jego prywatna sprawa. Mogą zostać i zobaczyć, kto wygra.

— Wszyscy ich pokonamy! — dokrzyczał Nisodemus.

— Eee... że jak? — rozległ się zdziwiony głos z tłumu.

— Bracia, stańmy zjednoczeni w wierze i ukażmy naszą jedność Dekretowi! Jeśli naprawdę szczerze, no, wierzycie w Arnolda Brosa (zał. 1905), żadna krzywda spotkać was nie może!

To zdecydowanie zmieniało sytuację, tym bardziej że samochód z niebieskim światłem zbliżał się do otwartej częściowo bramy, za którą leżał beużyteczny łańcuch. Kawałek za łańcuchem zaś stał Nisodemus, a za nim reszta nomów.

Grimma miała na końcu języka uwagę, że jedynie skończeni idioci stają przed jadącymi samochodami i wiara czy niewiara w Arnolda Brosa (zał. 1905) nie ma z tym nic wspólnego. Widziała, co się dzieje z nomami, które miały pecha i spotkały się z oponą jadącego samochodu — krewni chowali je w kopercie. Ale zdecydowała, że nic nie powie. Przez ostatnich kilka miesięcy ciągle ktoś kazał pozostałym coś robić albo czegoś nie robić. Może nadszedł właściwy czas, by przestać.

Jakby w odpowiedzi, zobaczyła, że coraz więcej obecnych odwraca się ku niej, aż w końcu padło spodziewane pytanie:

— Grimmo, co powinniśmy zrobić?

I komentarz:

— Ona jest Kierowcą, będzie wiedziała!

Uśmiechnęła się, ale nie był to zbyt szczęśliwy uśmiech.

— Zróbcie, co uważacie za właściwe — powiedziała.

Rozległ się chór głośnych i zaskoczonych pomruków.

— Dobra — odezwał się któryś z bardziej myślących. — Nisodemus może zatrzymać tę ciężarówkę tą swoją wiarą czy gada bez sensu?

— Nie wiem — odparła zgodnie z prawdą. — Może on może, wiem natomiast, że ja nie mogę.

Odwróciła się i rażnym krokiem pomaszerowała ku najbliższej szopie.

— Stójcie niezłomnie! — polecił Nisodemus, najwyraźniej zupełnie nie słuchający, co dzieje się za jego plecami.

Zresztą możliwe, że nie był w stanie już niczego słyszeć oprócz głosów we własnej głowie.

— Zróbcie, co uważacie za najlepsze! — mruknął pytający. — I to ma być polecenie?!

— Albo pomoc?! — dodał inny.

Obserwowali zbliżający się z chrzęstem żwiru pod kołami samochód, na którego dachu błyskało niebieskie światło. Na jego drodze stał z uniesionymi ramionami Nisodemus.

* * *

Gdyby w ciągu następnych kilku sekund jakiś lecący nad kamieniołomem ptak spojrział uważnie w dół, byłby naprawdę zaskoczony. Choć z drugiej strony mógłby nie być — ptaki są przecież na tyle głupie, że mają poważne problemy ze zwykłymi rzeczami, rzeczy niezwykle po prostu do nich nie docierają.

Gdyby jednak był to niezwykle inteligentny ptak, na przykład szpak czy papuga, którą wicher zwał kilka tysięcy kilometrów z kursu, to mógłby sobie pomyśleć mniej więcej tak:

Ale dziura we wzgórzu otoczona płotem i pełna rozsypujących się ruder.

Przez bramę w płocie przejeżdża właśnie samochód z niebieskim światłem na dachu.

A przed nim na ziemi widać kupę czarnych punkcików, jeden tuż przed samochodem, a reszta. . .

. . . reszta właśnie pryska na boki, byle dalej od samochodu.

* * *

Nigdy nie znaleziono Nisodemusa, choć grupa ochotników o wyjątkowo odpornych żołądkach przeszukała później koleiny i błoto. Stało się to powodem plotki głoszącej, że Nisodemus w ostatniej chwili stchórzył i złapał się jakiejś części samochodu (na przykład zderzaka), a następnie skrył się gdzieś i odjechał wraz z samochodem. Wieść gminna niosła, że żyje gdzieś samotnie, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Cokolwiek się stało — uciekł czy zginął — najważniejsze dla pozostałych było, że im narzucać swe pomysły. Nikt mu nie zarzucał złej woli, toteż wersja, którą zapisano w „Księdze nomów”, była, oględnie ujmując, złagodzoną odmianą wydarzeń, do których faktycznie doszło.

Poza tym o nim nie rozmawiano, a co kto sobie myślał, to jego prywatna sprawa.

* * *

Ludzie zaś, niczego nieświadomi, snuli się wokół pociągu i pozostałości po ciężarówce. Robiło się ich coraz więcej, gdyż błyskawicznie, jak na ludzkie tem-

po naturalnie, zjechało się tam sporo samochodów. Większość miała na dachach błyskające niebieskie światła.

Nomy szybko nauczyły się obawiać tego, co miało na dachu błyskające niebieskie światło.

Naturalną kolejną rzeczą landrower, który wcześniej próbował znaleźć się w kamieniołomie, także zjawiał się w pobliżu pociągu. Jeden z jego pasażerów okazał się bardziej rozgarnięty od pozostałych, gdyż najpierw na nich nakrzyczał, potem sprawdził pozostałości po silniku ciężarówki i odkrył brak akumulatora. A potem nawrzeszczał na pozostałych jeszcze bardziej.

Wiatr ignorował to całe zamieszanie, łagodnie kołysząc wysoką trawą koło przejazdu kolejowego. A część wysokiej trawy kołysała się sama, nie zwracając uwagi na wiatr.

* * *

Dorcas miał rację — ludzie zawsze wracali tam, gdzie już kiedyś byli. To samo stało się z kamieniołomem, który tego dnia znów zaczął do nich należeć. Przy szopach parkowały trzy ciężarówki, a ludzi było wszędzie pełno — niektórzy naprawiali ogrodzenie, inni zdejmowali z ciężarówek skrzynie i beczki, jeszcze inni łazili, ktoś sprzątał nawet pokój dyrektora.

Dla ponad dwóch tysięcy nomów, choć maleńkich, po prostu zabrakło miejsca, w kamieniołomie bowiem, jak się okazało, wcale nie było dużo kryjówek. Wszystkie zostały zajęte przez nieruchomych, milcząco nasłuchujących i przerażonych nomów. Pod podłogami, za skrzyniami, a nawet na krokwiach pod dachami — wszędzie, gdzie panował mrok, były i nomy.

Był to dla nich niezwykle długi dzień.

I do tego pełen niespodziewanych ocaleń, graniczących z niemożliwością.

Stary Munby Żelaznotowarowy wraz z rodziną znaleźli się nagle w pełnym świetle dnia, gdy sprzątający człowiek zabrał stare pudło, za którym się ukryli. Jedyne sprint za stertę puszek uratował ich przed dostrzeżeniem. No i naturalnie fakt, że ludzie nigdy tak naprawdę nie zwracają uwagi na to, co robią. To zresztą nie było jeszcze najgorsze.

Najgorsze było znacznie, ale to znacznie gorsze.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, obserwując, jak znika ich świat, i to wcale nie dlatego, że ludzie się na nich uwzięli albo że ich znienawidzili. Wcale nie — znikał dlatego, że ludzie ich nie zauważali. I to właśnie było najgorsze.

Choćby kwestia elektryczności. Dorcas pracowicie połączył przewody i znalazł bezpieczny sposób doprowadzenia prądu ze skrzynki bezpiecznikowej. Pociągnął całą instalację dalej, jako że dla sklepowych nomów elektryczność była czymś tak naturalnym i niezbędnym do życia jak powietrze. Teraz zostali jej pozbawieni, gdyż człowiek sprzątający w pokoju zerwał przewody, nie patrząc na-

wet, gdzie biegną, założył nową skrzynkę, zaopatrzoną w zamek, poprawił coś śrubokrętem i zajął się naprawą telefonu.

Podłogi wszędzie dudniły, osypując kurz i drzazgi w rytm ludzkich kroków, a na dodatek ze wszystkich stron dochodził przypominający gromy stukot młotków.

Ludzie wrócili i tym razem wszystko wskazywało na to, że mają zamiar zostać.

W końcu jednak sobie poszli, a raczej pojechali. Konkretnie, gdy niebo zaczęło się robić szarostalowe. Zanim to jednak nastąpiło, zrobili jeszcze coś naprawdę zaskakującego — wyrwali jedną z desek w podłodze biura dyrektora i wstawili przez otwór niewielką tackę. Po czym przybili deskę z powrotem. Dzięki błyskawicznej ewakuacji nie zauważyli przy tym żadnego noma ani nie postawili jej nikomu na głowie.

Zgromadzeni pod podłogą zaczęli się zastanawiać, dlaczego po takim jak ten dniu ludzie nagle dali im pożywienie. Tacka bowiem pełna była kaszki manny. Nie było jej wiele, jak na tyle nomów, ale siedzieli cały dzień głodni, a kasza pachniała smakowicie.

Kilku młodszych podeszło ostrożnie, obwąchało uważnie i w końcu jeden złapał garść. . .

— Nie jedz tego! — wrzasnęła przeraźliwie Grimma, przepychając się energicznie wśród obecnych.

— Ale to pachnie nor. . .

— A wahałeś już kiedyś kaszkę mannę?

— No, nie.

— To skąd wiesz, jak powinna pachnieć?! Posłuchajcie: wiem, co to jest. Tam, gdzie mieszkaliśmy, nim trafiliśmy do Sklepu. . . był przy autostradzie bar, gdzie jedli kierowcy. Czasami wśród pojemników na śmieci znajdowaliśmy taką kaszę albo cukier. To jedzenie zabija każdego, kto je zje!

Przyjrzeni się z niedowierzaniem tacy z kaszą. Jedzenie, które zabija?! To nie miało sensu, nawet jak na ludzi!

— Pamiętam, jak w Sklepie raz zdarzyło się nieświeże mięso — odezwał się jeden ze starszych nomów. — Ale wtedy mieliśmy paskudną biegunkę!

— To nie to! — sprzeciwiła się Grimma. — Koło jedzenia, o którym mówię, znajdowaliśmy martwe szczury. Zaręczam wam, że nie umarły szybko ani bezboleśnie! Nic tak pokręconego nie mogło umrzeć bezboleśnie.

Tym razem do nich trafiła. Nikt się nie zbliżył do tacki.

A potem nad nimi coś znajomo łupnęło: w kamieniołomie wciąż był człowiek.

* * *

Sprawdzenie terenu wykazało, że tylko jeden.

Siedział w starym obrotowym fotelu w pokoju dyrektora i czytał gazetę.

Jego poczynania obserwowali zwiadowcy przez dziurę tuż nad podłogą. Z tej perspektywy wydawał się jeszcze większy niż zwykle: góra w butach, spodniach i kurtce zwieńczona światłem odbijającym się w łysej głowie.

Po długim czasie odłożył gazetę i z blatu biurka wziął solidną paczkę kanapek — każda była większa od noma, po czym otworzył termos, z którego uniosła się para, i całe pomieszczenie wypełnił aromat kawy.

Zwiadowcy zostawili jednego na warcie i udali się z meldunkiem do Grimmy.

* * *

Grimma siedziała w pobliżu tacy z kaszą pilnowanej przez sześciu starszych i sensowniejszych nomów. Reszta przyjęła jej oświadczenie do wiadomości, ale dzieci trudno utrzymać z dala od jedzenia. Nawet gdy jest potencjalnie zabójcze.

— Nic nie robi, tylko siedzi — zakończył meldunek szef zwiadowców. — Dwa razy wyglądał przez okno.

— W takim razie będzie tu przez całą noc. Pewnie go zostawili, chcąc sprawdzić, kto powoduje te wszystkie problemy — oceniła z westchnieniem.

— To co w takim razie robimy?

Grimma wsparła brodę na dłoni i zamyśliła się głęboko.

— Możemy przenieść się do tych częściowo zburzonych baraków po drugiej stronie kamieniołomu — zaproponowała w końcu.

— Dorcas mówił, że tam jest niebezpiecznie — zauważył jeden z bliżej siedzących. — Przez ten cały złom i inne śmieci. Mówił, że bardzo niebezpiecznie.

— Bardziej niż tutaj? — W głosie Grimmy słychać było dawny sarkazm.

— Też racja. . .

— Przepraszam. . . — Odezwała się jedna z dziewcząt, które wpatrzona była w Grimmę jak w obrazek, ponieważ krzyczała na wszystkich i czytała lepiej niż Piśmienni. — Przepraszam. . . — powtórzyła, dygając.

— O co chodzi, Sorrit?

— Dzieci są głodne, a nie mamy już nic do jedzenia. — Sorrit ponownie dygnęła, uśmiechając się tym razem przepraszająco.

Grimma westchnęła — magazyny, a raczej to, co z nich zostało, były pod inną podłogą, gdyż główny magazyn ziemniaków i skład kukurydzy ludzie już znaleźli. To zresztą mógł być powód wyłożenia przez nich trucizny na szczury. Poza tym nomy nie mogły rozpalić ognia, a mięsa nie było od paru dni, gdyż nikt nie polował, jako że według Nisodemusa Arnold Bros (zał. 1905) powinien o wszystko zadbać.

— Jak tylko się przejaśni, powinniśmy wysłać kilka grup łowieckich — odezwała się po namyśle Grimma.

Sprawa nie była specjalnie pilna, ponieważ dla nomów noc trwała mniej więcej tyle co trzy doby...

— Śniegu nie brakuje, czyli wodę mamy — zauważył ktoś.

— My jakoś wytrzymamy bez jedzenia — stwierdziła trzeźwo Grimma. — Dzieci nie.

— Starzy też nie — dodał inny nom. — W nocy będzie mróz, a my nie mamy elektryczności i nie możemy rozpalić ognia.

Wszyscy umilkli i ponuro wpatrzyli się w klepisko.

Najdziwniejsze, że nikt się z nikim nie kłócił, nikt na nikogo nie zrzucił winy za to, co się stało, i nikt na nic nie narzekał. Sytuacja była tak poważna, że na tradycyjne rozrywki nie było czasu ani ochoty.

— No dobrze — odezwała się wreszcie Grimma — to jak myślicie, co powinniśmy zrobić?

Rozdział jedenasty

I. „Wyjdziemy spod podłogi.”

II. „Przestaniemy się kryć.”

III. „Zaprawdę pragnąć będą, aby nigdy nas nie dostrzegli.”

Księga nomów, Ludzie, w. I-III

Człowiek odłożył gazetę i zaczął nasłuchiwać.

W ścianach coś chrupało i hałasowało. Pod podłogą coś się tłukło i chrzęściło. A co gorsza, nagle coś zaszeleściło na blacie biurka.

Człowiek powoli spojrzał na blat i wybałuszył oczy: grupa miniaturowych ludzików ciągnęła pakunek z jego kanapkami na skraj blatu.

Zamrugął gwałtownie, ryknął i wstał. A raczej próbował wstać, bo gdy się wyprostował, zorientował się, że ma stopy mocno przywiązane do nóg krzesła. Zamachał gwałtownie rękoma, ale nie mógł utrzymać równowagi i z łomotem zwałił się na podłogę.

Tłum małych istot poruszających się z taką szybkością, że ledwie je widział, wypadł spod biurka i zajął się wiązaniem jego rąk izolowanym drutem elektrycznym. W ciągu kilkunastu sekund został może niezbyt elegancko, ale skutecznie, związany i przymocowany do mebli i innych nieruchomych elementów.

Przewrócił oczami, otworzył usta i zawył, a na końcu szarpnął się wściekle.

Drut trzymał mocno.

* * *

Kanapki były z serem i sosem korzennym, co w połączeniu z kawą z termosu dało pierwszy od dawna, uczciwy, sklepowy posiłek.

Koło stołu stał elektryczny piecyk, przed którym zasiadły rzędy zziębniętych nomów, zwłaszcza starszych i nieletnich. Inni wędrowali w tę i z powrotem po wolnym kawałku podłogi, ale miejsca było niewiele, gdyż każdy, kto mógł, zjawił się w pomieszczeniu. Ogólnie panował podniosły nastrój — dokonali tego, co zrobili ich przodkowie, a co opisano w księdze z obrazkami.

Dały się zauważyć dwie szkoły dotyczące przyszłości człowieka — część twierdziła, że należy go zabić, część, że samo związanie wystarczy. Dyskusja rozgorzała z nową siłą, gdy na jednej z półek znaleziono pudełko. Było żółte, narysowano na nim nieszczęśliwego szczura i napisano dużymi, czerwonymi literami ZMIATAĆ.

Z tyłu drobnym, czarnym drukiem było napisane znacznie więcej, i tym właśnie zajęła się Grimma, marszcząc z wysiłku czoło:

— Tu pisze: „Wezmą gryza, ale na pewno nie wrócą po więcej!” A tutaj jest napisane: „Zawiera polydichlorometylinlon 4”, cokolwiek to jest... i dalej: „Oczyszcza magazyny z kłopotliwych...”

— Kłopotliwych co? — dopomniął się jeden ze słuchających, gdy Grimma umilkła.

— Tu pisze — dokończyła cicho — „Oczyszcza magazyny z kłopotliwych szkodników. Błyskawicznie!!...” To trucizna i dlatego wstawili ją pod podłogę!

Cisza, jaka zapadła, była czarna i wściekła. W kamieniołomie wychowywało się dużo dzieci, toteż zgromadzeni mieli wyrobioną opinię o wykładaniu jakichkolwiek trucizn.

— Powinniśmy go tym nakarmić — odezwał się wreszcie głos. — Zobaczmy, jak mu zasmakuje ten Polytamcośtam 4. Szkodniki... sam jest szkodnik, i tyle!

— To trutka na szczury, nie na nas — przypomniała Grimma.

— I co z tego? — rozległo się z sali. — Szczury są w porządku. Nigdy nie mieliśmy kłopotów ze szczurami i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy pozwolić, żeby dawano im zatrute jedzenie.

Faktycznie — od samego początku w kamieniołomie wzajemne stosunki z lokalną populacją szczurów wyglądały nienagannie, najprawdopodobniej dlatego, że wodzem szczurów został Bobo, osobisty szczur Angala z czasów sklepowych. Oba gatunki traktowały się z niewymuszoną uprzejmością, charakterystyczną dla sytuacji, gdy każdy mógł polować na drugiego, ale miał taki kaprys, by tego nie robić.

— Prawdę mówiąc, szczury będą nam wdzięczne, jak się go pozbędziemy — dodał autor pomysłu otrucia.

— Szczury może tak, ale wydaje mi się, że nie powinniśmy tego zrobić — sprzeciwiła się Grimma. — Masklin zawsze mówił, że są prawie tak inteligentni jak my. Nie można truć tak od ręki inteligentnych stworzeń.

— Oni próbują.

— Ale oni nie są nami i nie wiedzą, jak się należy zachowywać. A poza tym pomyślcie: rano wróci tu reszta ludzi. Jak znajdą go martwego, zaczną się prawdziwe kłopoty.

Bezwzględnie Grimma miała rację, tyle że kłopoty już się zaczęły: pokazali się człowiekowi, czyli zrobili coś, o czym nawet najstarsi nie słyszeli. Musieli to

zrobić, albo zamarznąć i zagłodzić się, ale nikt nie wiedział, czym takie postępowanie może się skończyć. Jak się skończy, wiedzieli wszyscy — źle.

— Umieście tę kaszę gdzieś, gdzie szczury nie będą mogły dotrzeć — poleciła Grimma. — I zawartość tego pudełka też.

— Wydaje mi się, że powinniśmy go mimo wszystko tym nakarmić, choć trochę...

— Żadnego karmienia! Macie to skutecznie schować! Zostaniemy tu przez noc, a rano znikamy.

— Skoro się upierasz... Tylko żebyśmy tego później nie żałowali... — Mimo narzekań tacka i pudełko zostały wyniesione i ukryte.

Grimma nie dopytywała się gdzie — nomy były tak pomysłowe, że szczury nie miały szans się na nie natknąć. Zamiast tracić czas na bezowocne dyskusje, podszła do związanego i rozciągniętego na podłodze człowieka. Powiązano go tak, że nie był w stanie nawet palcem ruszyć i rzeczywiście nieco przypominał tego całego Guliwera, tyle że teraz mieli do dyspozycji izolowany przewód elektryczny, który był zdecydowanie skuteczniejszy od lin i powrozów, jakimi — zgodnie z rysunkami — musieli się zadowolić przodkowie. No i byli zdecydowanie bardziej rozszoszczeni od tamtych — Guliwer nie jeździł po okolicy ciężarówką, nie parkował jej, gdzie popadnie, i nie rozkładał wokoło trutki na szczury.

Starannie przetrząsnięto związanemu kieszenie, a ich zawartość wysypano. Był tam kawał białego materiału, który po zrolowaniu zawiązano mu wokół głowy w charakterze knebla, gdyż wszyscy mieli dość ciągłego buczenia i innych ryków, jakie z siebie wydawał.

Teraz dogryzali pozostałości po kanapkach i przyglądali się jego oczom.

Ludzie nie potrafili zrozumieć nomów, gdyż mówiły zbyt szybko i w zbyt wysokiej tonacji, co dawało efekt podobny do pisku nietoperza. Prawdopodobnie tak było lepiej dla wszystkich, a na pewno dla tego konkretnego człowieka.

— Może by tak znaleźć coś ostrego i wbić mu? — zastanawiał się ktoś. — Albo więcej cosiów i powbijać wszędzie, gdzie jest miejsce?

— Można też w ciekawy sposób wykorzystać zapałki — zaproponowała ku zaskoczeniu Grimmy jakaś niewiasta.

— Albo gwoździe — dodał ktoś uprzejmie.

Człowiek zacharczał coś, co knebel na szczęście wytłumił, i szarpnął się bezskutecznie.

— Moglibyśmy powyrywać mu włosy — rozmarzyła się niewiasta. — A potem moglibyśmy...

— To bierz się do roboty! — przerwała jej niespodziewanie Grimma.

— Co?!

— Rób z nim to, na co masz ochotę. Wy dwaj też. Macie go w zasięgu ręki, uciec nie ma prawa, więc bierzcie się do dzieła.

— Co? Ja?! — Niewiasta aż się cofnęła z wrażenia. — Przecież... no, nie oświadczyć! Nie miałam na myśli siebie!... Miałam na myśli... no, nas wszystkich... no, nomy...

— Przecież także jesteś nomem — zauważyła rzeczowo Grimma. — Zbiornosc składa się z jednostek. Jeśli ten, kto proponuje, nie ma zamiaru zrobić tego, co proponuje, to niech się łaskawie zamknie! Poza tym nie należy krzywdzić jeńców, czytałam o tym w książce. Nazywała się „Konwencja genewska”. Jak się weźmie jeńców i oni są bezbronni, to nie powinno się im robić krzywdy.

— Bez sensu! — obruszył się jakiś nom. — Przecież to najlepsza okazja przyłożyć temu, co nie może oddać. Poza tym to są jakieś ludzkie fanaberie, a ludzi nie można traktować normalnie.

Ale mimo wszystko cofnął się, chowając za innymi, i zamilkł.

— Zabawna sprawa — zauważyła propagatorka zapalek, przekręcając na bok głowę. — Jak tak się spokojnie przyjrzeć z bliska, to są nawet do nas podobni... tylko więksi...

Kilku odważniejszych obejrzało uważniej głowę jeńca.

— Ma włosy w nosie — odkrył jeden.

— W uszach też — dodał inny.

— Prawie mi ich szkoda: taki wielki nos to musi być prawdziwe utrapienie!

Grimma, spoglądając na leżącego, zastanawiała się nad czymś innym — skoro ludzie byli podobni i proporcjonalnie więksi, to powinni mieć dość miejsca na mózg. A z tego, co mówiła Rzecz, kiedyś, tysiące lat temu, byli w stanie widzieć nomy. Może zresztą nie tylko tysiące lat temu... A to znaczyło, że kiedyś musieli zdawać sobie sprawę, że nomy także są inteligentne i normalne, czyli takie same jak oni, tylko mniejsze, a mimo to zrobili z nich krasnoludki. Może nie chcieli dzielić się światem, w którym mieszkali?

Człowiek bez dwóch zdań przyglądał się jej przerażonym wzrokiem.

W sumie bez kłopotów mogliby wspólnie mieszkać na tym świecie, bo świat ludzi był wielki i powolny, a świat nomów mały i szybki. Tyle że nie mogli się porozumieć i zrozumieć, a ludzie nie byli nawet w stanie dostrzec noma, chyba że ten stał dłuższy czas nieruchomo, tak jak ona teraz. Trudno było się tak na dobrą sprawę dziwić, że nie wierzą w istnienie nomów.

A nomy od dawna nie traktowały ich jak równych sobie i nie próbowały się z nimi porozumieć jak z kimś, kto naprawdę myśli. Trudno się porozumieć z kimś, kto jest przekonany, że nie istnieje, ale jak ktoś leży na podłodze związany przez takich, w których istnienie nie wierzy, nie jest to najdogodniejsza okazja do rozpoczęcia rozmowy.

Po głębokim namyśle uznała, że należałoby spróbować kiedy indziej, w bardziej sprzyjających okolicznościach i bez wrzasków czy znaków, tylko po prostu spróbować zrozumieć się nawzajem. Gdyby bowiem to się udało, razem byłiby

w stanie dokonać niewyobrażalnych rzeczy. . . ale na pewno nie malować kwiatki czy naprawiać buty!

— Grimma? — Cichy, ale natarczywy głos zza pleców przywołał ją do rzeczywistości. — Wydaje mi się, że powinnaś to zobaczyć.

Głos należał do jednego z nomów wędrujących po rozpostartej na podłodze płachcie gazety, którą właśnie czytał człowiek. Była nieco podobna do tej, w której było zdjęcie Wnuka, 39, tyle że znacznie większa, bo była cała i mniej sfatygowana. Nazywała się PRZECZYTAJ TO W BLACKBURY EYENING POST & GAZETTE i niektóre napisy miała wykonane literami tak wielkimi jak normalny nom.

Grimma skoncentrowała się na mniejszych — takich wielkości głowy albo i dłoni — i skupiła się, próbując je zrozumieć. Ze zrozumieniem książek nie miała większych kłopotów, ale gazety musiały używać jakiegoś zupełnie innego języka, który tylko pozornie wyglądał tak samo. Pełno w nim było „prawdopodobnie” i „zszokowani” oraz niewyraźnych zdjęć wyszczerzonych ludzi ściskających się za ręce (GOŚCIE ZEBRALI 455 FUNTÓW NA PROŚBĘ SZPITALA). Każde słowo z osobna nie sprawiało kłopotu, ale co znaczyły złożone razem, nie dało się odkryć. Albo też znaczyły coś całkowicie niewiarygodnego, na przykład: MORDOBICIE W ŻŁOBKU.

— Chodzi o ten kawałek. — Przewodnik doprowadził ją na środek strony. — Zobacz, niektóre słowa są takie same jak poprzednio, a tu piszą o Wnuku, 39! I jest zdjęcie.

Grimma przyjrzała się uważnie rozmytej fotografii — faktycznie przedstawiała Wnuka, 39. Nad nią zaś tytuł głosił: AWARIA TELEWIZJI — W — NIEBIE.

Przyklękła i przeczytała starannie to, co było poniżej drobnym drukiem.

— Przeczytaj głośno — rozległ się niezgodny chórek.

Richard Arnold, prezes Arnco Group w Blackbury, powiedział dziś na Florydzie, że naukowcy nadal próbują odzyskać kontrolę nad Arsat 1, milionfuntowym sat..elitą ko... ko... komunikacyjnym...

— Milionfuntowym — powtórzył jeden ze słuchaczy. — Ciężki, znaczy się, ten elita.

— Satelita — poprawiła Grimma i czytała dalej:

Wczorajszy start był udany, a dziś miały zacząć się tr... tr... transmisje testowe. Zamiast nich satelita wysyła strumień dziwnych sygnałów. „To przypomina jakiś kod”, powiedział Richard, 39...

Następny fragment zagłuszył pomruk uznania słuchaczy.

— Jakby miał własny, nieznan program — zakończyła Grimma, nie wdając się w dalszą lekturę, w której były jakieś „piętrowe kłopoty” i inne techniczne określenia, których zupełnie nie pojmowała.

Za to przypomniało jej się, w jaki sposób Masklin mówił o gwiazdach, jak też to, że zabrał ze sobą Rzec. A Rzec mogła rozmawiać z różnymi elektrycznymi urządzeniami i słuchać tego, co mówią w powietrzu, a co Dorcas nazywał radiem. Jeśli cokolwiek mogło wysyłać dziwne sygnały do gwiazd, to na pewno Rzec. A Masklin powiedział, że podróż może być nawet dłuższa niż Długa Jazda. . .

— Oni żyją! — oznajmiła nagle, nie zwracając się do nikogo konkretnie. — Masklin, Gurder i Angalo. Dotarli do tej całej Florydy i żyją.

Przypomniała sobie, jak wielokrotnie próbował jej opowiedzieć o niebie i o tym, skąd przybyli, czego nigdy nie zdołała do końca zrozumieć, podobnie jak on nie był w stanie zrozumieć opowieści o żabach.

— Wiem, że żyją — powtórzyła z mocą. — Nie wiem dokładnie jak, ale mają plan i go nawet realizują.

Słuchacze wymienili jednoznaczne spojrzenia — ich znaczenie można by ująć tak: biedna dziewczyna, sama się oszukuje, ale trzeba by znacznie bardziej zdesperowanego noma niż ja, żeby jej to opowiedzieć. Babka Morkie poklepała ją łagodnie po ramieniu.

— I dobrze — powiedziała wyjątkowo spokojnie. — I też dobrze, że mają plan, bo plan to podstawa. A ty się prześpij, bo sen ci się przyda, moje dziecko.

* * *

Grimma śniła.

Był to powikłany sen. Sny z zasady takie są, ale ten bardziej niż inne. Śniła głównie o głośnych hałasach, błyskających światłach i oczach.

Małych, żółtych oczkach. I o Masklinie, stojącym na gałęzi, wspinającym się wśród liści i przyglądającym się żółtym oczkom.

Była przekonana, że widzi to, co się naprawdę dzieje. Umocniło ją to w przekonaniu, iż Masklin żyje. Oraz w tym, że przestrzeń, zwana też kosmosem, miała zdecydowanie więcej liści, niż dotąd sądziła. No, istniała też możliwość, że jej się to wszystko śni, ale. . .

Ale właśnie wtedy ktoś ją obudził.

A ponieważ jeszcze nigdy nikomu na dobre nie wyszło zastanawianie się, co też dany sen może oznaczać, nie traciła czasu na interpretację.

* * *

Zaczęło padać, naturalnie był to śnieg i zerwał się zimny wiatr. Grupa wysłana na przeszukanie terenu wróciła z kilkoma warzywami zgubionymi przez ludzi, ale było to zbyt mało nawet na przekąskę. Człowiek zasnął, chrapiąc tak, jakby ktoś piłował strasznie grubą kłodę niezwykle cienką piłą.

— Rano przyjdą inni — przypomniała Grimma. — Nie powinno nas już tu być. Może powinniśmy...

Nagle umilkła i zaczęła nasłuchiwać.

Wszyscy poszli jej śladem.

Coś poruszało się pod podłogą.

— Zostawiliśmy kogoś czy jak? — zdziwiła się Grimma szeptem.

Odpowiedziały jej przeczące gesty — na dole było zimno i nikt tam nie został, co sprawdzono na wszelki wypadek.

— Szczury... — zaczęła Grimma i ponownie urwała.

Ktoś zawołał z dołu przeraźliwym szeptem, jakby nie do końca wiedząc, co woli: zostać usłyszanym, czy też nadal zachowywać się tak cicho, jak to tylko możliwe.

Okazało się, że to Sacco.

Odciągnięto pospiesznie wyłamana deskę i wyciągnięto go na górę. Był za-
błocony od stóp do czubka głowy i ledwie trzymał się na nogach.

— Nikogo... nikogo nie mogłem znaleźć! — wysapał. — Wszędzie szukałem i nigdzie was nie było, a widzieliśmy, że tu przyjechały ciężarówki i było pełno ludzi. Myślałem, że nadal tu są, i dopiero jak usłyszałem wasze głosy, to mi ulżyło, i musicie ze mną iść, bo chodzi o Dorcasa!

— To on żyje? — zdziwiła się Grimma.

— Jak na martwego, klnie wręcz zadziwiająco — odparł Sacco i siadł na pod-
łodze.

— Myśleliśmy, że wszyscy zgi...

— Wszyscy jesteśmy cali i zdrowi oprócz Dorcasa. Coś sobie zrobił, zeska-
kując z ciężarówki! Musimy iść po niego.

— Nie wygląda, jakbyś był w stanie iść po cokolwiek — oceniła Grimma,
wstając. — Powiedz mi, gdzie oni są?

— Dotargaliśmy go do połowy drogi, ale tak się zmęczyliśmy, że postano-
wili wysłać mnie po pomoc, a sami schronili się pod płotem i... — Sacco nagle
wyrzeszczył oczy, dostrzegłszy chrapiącego człowieka. — Jak go złapaliście?!...
Zresztą nieważne, potem mi powiesz... chyba jestem troszkę zmęczony...

I padł na twarz.

Grimma zdołała go złapać, nim rąbnął o podłogę, i położyła go na niej tak
delikatnie, jak tylko potrafiła.

— Niech go ktoś przeniesie pod grzejnik i zobaczcie, czy zostało jeszcze coś
do jedzenia — zwróciła się bezosobowo do wszystkich obecnych. — Potrzebuję
ochotników, by poszukać pozostałych. W taką noc nie należy nikogo zostawiać
na zewnątrz.

Miny większości wskazywały, że byli tego samego zdania, ale z małą popraw-
ką: przede wszystkim sami nie mieli najmniejszej ochoty znaleźć się na zewnątrz.

— Śnieg sypie... — odezwał się czyjś zatroskany głos.

— Po ciemku sami się zgubimy i nikogo nie znajdziemy. . .

Grimma spojrzała na zebranych na swój zwykły sposób, czyli spode łba.

— Możemy znaleźć ich po ciemku — warknęła. — Możemy nawet znaleźć ich podczas śnieżycy. Ale na pewno nie znajdziemy nikogo, siedząc tu beczynnie w cieple.

Kilkoro nomów wstało — byli wśród nich rodzice Nooty i krewni innych asystentów Dorcasa. A zaraz potem w pobliżu biurka wybuchło zamieszanie, co było o tyle dziwne, że tam skupili się najstarsi.

— Ja też idę! — Z zamieszania wyłoniła się Babka Morkie. — Świeże powietrze jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło. I czego się tak wszyscy na mnie gapicie?!

— Wydaje mi się, że powinnaś zostać — powiedziała łagodnie Grimma.

— Przestań być nagle troskliwa, to do ciebie niepodobne — ofuknęła ją Babka Morkie, energicznie wymachując laską. — Chodziłam w śniegu, zanim ty zostałam zaplanowana. Jak się ktoś zachowuje rozsądnie i regularnie krzyczy, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie wszyscy inni są, to nic się nikomu nie stanie. Brałam udział w poszukiwaniach stryja Joego, nim skończyłam pierwszy rok. Wtedy śnieg spadł tak niespodziewanie, że zaskoczył nawet myśliwych. No, ale znaleźliśmy go. . . prawie całego!

— Już dobrze, pójdiesz! — zdecydowała czym prędzej Grimma. — A raczej pójdziemy!

W końcu z pewnym trudem udało się zebrać piętnastu ochotników, z których część zmusił do akcji jedynie czysty wstyd.

Żeby nikt się nie zdążył rozmyślić, Grimma zarządziła natychmiastowy wy-marsz.

* * *

W żółtym blasku wpadającym przez okna baraku płatki śniegu wyglądały pięknie, zanim jednak dotarły do ziemi, stawały się upiórkowatym utrapieniem.

Sklepowe nomy serdecznie nienawidziły zewnętrznego śniegu. Ten, który zna-ły ze Sklepu, był napryskiwany na towary w czasie Świątecznego Kiermaszu i nie był zimny. Ani się nie rozpuszczał w breję. A płatki śniegu były duże, śliczne i przymocowane cienkimi sznurkami do sufitu. Uczciwe płatki śniegu, ma się ro-zumieć, nie to, co leciało na głowę i wyglądało z daleka normalnie, ale zmieniało się w zimne mokro, którego nikt nie sprzątał z podłogi.

Śnieg sięgał im do kolan.

— Żeby się w tym zręcznie poruszać, robi się tak: podnosi się wysoko nogę i stawia się ją zdecydowanie — poinstruowała pozostałych Babka Morkie. — Jak się nabierze wprawy, to się to robi odruchowo.

Plac oświetlony był blaskiem padającym z okna, natomiast droga stanowiła ciemny tunel prowadzący w noc.

— I trzeba się rozproszyć — dodała Babka Morkie. — Ale trzymać razem.

— Przecież to niemożliwe! — mruknął któryś.

Najstarszy, poza Babką Morkie naturalnie, uniósł dłoń i spytał ostrożnie:

— W nocy nie ma drozdów, prawda?

— Pewnie, że nie ma — obruszyła się Babka Morkie.

Rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

— Za to są lisy — dokończyła z satysfakcją Babka Morkie. — Duże, głodne lisy. I mogą zdarzyć się sowy. Cwane ptaki, te sowy: nie usłyszysz ich, dopóki kogoś nie złapią. Trzeba się dobrze rozglądać, zapamiętajcie to sobie! I zawsze ruszać lewą! Chyba że ktoś ma tak, jak miał mój stryj Jim: lis odgryzł mu lewą nogę i chodził z drewnianą protezą. . .

Podnoszenie na duchu w wykonaniu Babki Morkie powodowało, że natychmiast zaczynali się ruszać, uznając, że wszystko jest lepsze od słuchania kolejnych pokrępiających opowieści.

Śnieg osiadał na wszystkim, w tym też na źdźbłach uschniętej trawy, krzewach i płocie przy drodze. Zdarzały się wywrotki, czy to na śnieg, czy na innych, ale posuwali się do przodu, starannie zaglądając w każdą dziurę. I w każdy mroczniejszy kąt, w którym mogły czaić się lisy, drozdy, sowy i inne horrory Zewnątrz.

Stopniowo robiło się coraz ciemniej, aż w końcu zrobiło się całkiem ciemno, jedynie od śniegu odbijał się słaby blask gwiazd. Czasami komuś się wydało, że coś dostrzegł — wtedy wołał, a pozostali nasłuchiwali.

I robiło się coraz zimniej.

Babka Morkie nagle stanęła wyprostowana.

— Lis! — oznajmiła tryumfalnie. — Czuję go wyraźnie. Ma tak charakterystyczny smrodek, że nie sposób się pomylić.

Ekipa ratunkowa zbiła się ciasno i rozglądała nerwowo.

— Może go tu już nie być — dodała Babka Morkie. — Smrodek długo utrzymuje się w powietrzu. . .

Gromadka rozluźniła się nieco.

— Może przestałabyś nas straszyć? — zaproponowała Grimma.

— Przecież tylko staram się pomóc! — sarknęła Babka Morkie. — Nie chcecie mojej pomocy, wystarczy powiedzieć!

— Zaczekajcie! Robimy to na opak! — ocknęła się nagle Grimma. — Dorcas przecież wie o lisach, więc nie będzie siedział na środku drogi! Na pewno kazał pozostałym poszukać jakiejś osłoniętej i w miarę bezpiecznej kryjówki.

— Jak się przyjrzeć, w jaki sposób pada śnieg, to widać, że klimatyzacja dmucha w tę stronę — odezwał się trochę niepewnie ojciec Nooty, wskazując kierunek. — Przez co śniegu jest więcej z tej strony niż z tamtej. Dorcas to rozsądny

nom, więc powinien trzymać się tej strony, gdzie jest mniej śniegu i mniej klimatyzacji, prawda?

— Na zewnątrz to się nazywa wiatr — przypomniała mu cierpliwie Grimmer. — Ale poza tym masz rację, a to znaczy, że powinni być po drugiej stronie krzaków, na zboczu nasypu wychodzącym na pola. Idziemy!

Wdrapali się na nasyp, podciągając się na gałęziach i przez podkład liści, przebrnęli przez krzewy i wyszli na rozciągające się po drugiej stronie pole.

Zrobiło się naprawdę pusto.

Ponad nieskończoną płaszczyznę śniegu jedynie tu i ówdzie wystawały wyższe kępy uschniętej trawy.

Rozległ się zbiorowy jęk.

W kamieniołomie można było udawać, że ściany są ze wszystkich stron. Na drodze nasyp skutecznie udawał ściany. Tutaj nie było nic, co mogłoby próbować udawać.

— Trzymajmy się krzaków — poleciła z udawaną bez troską Grimmer. — Tu jest mniej śniegu.

A potem przysła jej do głowy dziwna myśl — co prawda, podobnie jak Dorcas, nie wierzyła w Arnolda Brosa (zał. 1905), ale jakby jednak istniał i pozwolił jej szybko znaleźć Dorcas, to byłoby to z jego strony naprawdę miłe. I doceniłaby to. A jakby tak spowodował, że śnieg przestałby padać i wszyscy dotarliby bezpiecznie z powrotem do baraku, to pierwszy raz naprawdę na coś by się przydał...

Było to głupie, jako że Masklin wielokrotnie powtarzał, że Arnold Bros (zał. 1905) istnieje tylko w ich głowach, pomagając im myśleć, ale nic nie mogła na to poradzić.

A potem uzmysłowiła sobie, że od paru sekund stoi i gapi się w śnieg.

A raczej w dziurę w śniegu.

Rozdział dwunasty

IV. „Nie mamy dokąd się udać, a wyjść musimy.”

Księga nomów, Wyjście, w. IV

— Myślałam, że to króliki — rzekła Grimma.

Dorcas poklepał ją po dłoni.

— Dobrze się spisałaś! — pochwalił nieco słabym głosem.

— Jak Sacco poszedł, zrobiło się naprawdę zimno i Dorcas powiedział, żebyśmy zabrali go na drugą stronę, i przypomniało mi się, że na tym polu często widziałam króliki. Dorcas powiedział, żebyśmy znaleźli króliczą norę, i znaleźliśmy, i myśleliśmy, że będziemy tu całą noc...

— Dość! — jęknął Dorcas i Nooty posłusznie umilkła. — Au!

— Nie histeryzuj! — fuknęła Babka Morkie. — To nic nie bolało! Nogi nie złamałeś, ale paskudnie ją sobie wykręciłeś.

Reszta ekipy ratunkowej rozglądała się z zainteresowaniem i uznaniem po norze — była przyjemnie zamkniętym pomieszczeniem.

— Nasi przodkowie najprawdopodobniej mieszkali w takich dziurach jak ta — poinformowała ich Grimma. — Tyle że zaopatrzonych w półki i inne meble.

— Przyjemnie tu — ocenił ktoś. — Domowo. Prawie jak pod podłogą.

— Ździebełko śmierdzi — skrzywił się inny. — Ale tylko Ździebełko.

— To króliki. — Dorcas wskazał mrok w głębi nory. — Słysząc je czasami, ale trzymają się od nas z daleka. Nooty wydawało się, że jakiś czas temu kręcił się w pobliżu lis.

— Lepiej wracajmy — zaproponowała Grimma. — Co prawda wątpię, żeby jakiś lis był na tyle głupi, by zaatakować taką dużą grupę, ale nigdy nic nie wiadomo. Tutejsze co prawda zdążyły się już nauczyć, że jedzenie nomów jest szkodliwe...

Zebrani przyznawali jej rację, ale problem polegał na tym, że najbardziej w takim wypadku poszkodowanym był zjedzony. Świadomość, że lis zapłaci za to głową, stanowiła niewielkie pocieszenie. W dodatku, choć tu było mokro i chłodno, i perspektywa nocy w baraku na pewno brzmiałaby atrakcyjniej, i tak tu było

znacznie przyjemniej niż na zewnątrz. No i byli całkiem daleko od kamieniołomu — minęli z tuzin króliczych nor, nim z kolejnej odpowiedziała na wołanie Nooty.

— Naprawdę nie sądzę, żebyśmy się mieli czegoś bać — powtórzyła Grimma. — Lisy szybko się uczą, prawda, Babko?

— Eee? — zdziwiła się Babka Morkie.

— Właśnie mówiłam, że lisy szybko się uczą! — Grimma poczuła się z lekka zdesperowana.

— A uczą się, cholery, uczą. Z drugiego końca lasu taki przyjdzie, jak wie, że znajdzie coś smacznego do jedzenia — rozpromieniła się Babka Morkie. — Zwłaszcza w zimie!

— Nie o to mi chodziło! — jęknęła Grimma. — Dlaczego zawsze musisz pamiętać to, co najgorsze?!

— Bo takie jest życie — sarknęła Babka Morkie. — Celowo tego nie robię, możesz mi wierzyć!

— Musimy wrócić — zdecydował Dorcas. — Ten śnieg sam sobie nie pójdzie, tak? To lepiej iść, jak jest go niewiele, no nie? Jak będę miał się o kogo oprzeć, to sam pójdę.

— Możemy zrobić nosze... — zaproponowała niepewnie Grimma. — I prawdę mówiąc, nie bardzo jest do czego wracać...

— Widzieliśmy, że ludzie pojechali do kamieniołomu — odezwała się Nooty. — Ale musieliśmy dotrzeć do borsuczego tunelu, a śnieg zakrył ścieżkę. Próbowaliśmy na skróty przez pole, ale to był błąd. No i nie mieliśmy nic do jedzenia.

— W tej kwestii nie oczekujcie zbytnej poprawy: ludzie zabrali większość naszych zapasów — odparła uczciwie Grimma. — I wyłożyli trutkę na szczury, bo uważają, że to były ich zapasy.

— To nie najgorzej — mruknął zadowolony Dorcas. — W Sklepie zachęcaliśmy ich, żeby myśleli, że szczury to my. Wykładali łąpki, w które wkładaliśmy szczury upolowane w piwnicy. Jak byłem chłopakiem, potem przestali rozkładać łąpki...

— Teraz używają zatrutej żywności — dodała Grimma.

— A to już jest nieuczciwe!

— Za to skuteczniejsze. Wracajmy już!

Śnieg wciąż padał, ale niechętnie, jakby tym na górze kończył się zapas i pozbywali się resztek. Na wschodzie widać było na niebie cienką czerwoną linię — jeszcze nie świt, ale zdecydowaną jego zapowiedź. Niebo nie było radosne — kiedy wszędzie słońce, znajdzie się zamknięte za chmurami.

Z pobliskiego krzaka nałamali gałęzi, z których sporządzono coś w rodzaju krzesła — lektyki. Cztery nomy mogły w nim nieść Dorcasa. Z tej strony śniegu było mniej, za to pełno było suchych liści, gałązek i innych śmieci, toteż nie

posuwali się zbyt szybko. Grimma, uwalniając się z objęć kolejnego kolca długości ręki, które czepiały się ubrań, drąc je niemiłosiernie, żałowała, że nie jest człowiekiem. Masklin miał rację — to rzeczywiście był ich świat: zrobiony na ich wymiar. Mogli chodzić, dokąd chcieli, i robić, co chcieli. Nomy zdołały jedynie zamieszkiwać jego zakamarki, gnieźdząc się pod podłogą i kradnąc to, czego potrzebowały.

Pozostali wędrowali w pełnej zmęczenia ciszy. Oprócz skrzypienia śniegu i liści pod stopami przerywały ją jedynie odgłosy posiłku Babki Morkie, która znalazła na krzaku kilka owoców głogu i gryzła je z różnymi objawami zadowolenia. Było ono tym większe, że inni uznali owoce za gorzkie i niesmaczne.

Przyglądając się jej spod oka, Grimma widziała ponurą przyszłość — jedyną nadzieją na przetrwanie było podzielić się na grupy i iść w różnych kierunkach. Znów mieszkać w norach; jeść, co się uda znaleźć lub upolować. Większości uda się przetrwać, ale starzy szybko wymrą. Jeśli nie, zagłada czekała całą grupę. Należało się pożegnać z elektrycznością, czytaniem i marzeniami. . . Za to była zdecydowana poczekać w kamieniołomie na powrót Masklina, obojętnie, ile by to miało trwać.

— Uszy do góry, moje dziecko — odezwała się niespodziewanie Babka Morkie. — Najgorsze dopiero przed nami. No i może się nigdy nie przytrafić bo. . . Urwała, widząc bladą niczym śnieg twarz Grimmy, z której uciekły nagle wszystkie kolory. Dziewczyna kilkakrotnie bezgłośnie poruszyła ustami, po czym łagodnie osunęła się na kolana i rozplakała się.

Był to najbardziej szokujący dźwięk, jaki słyszeli. Grimma narzekała, wrzeszczała, rozkazywała i docinała wszystkim, aż fruwało, ale słuchanie, jak płacze, było czymś zupełnie wyjątkowym. Zupełnie jakby świat stanął na głowie.

— Przecież tylko chciałam ją pocieszyć. . . — wymamrotała Babka Morkie.

Pozostali otoczyli je ciasnym i bezradnym kręgiem, nie wiedząc, co zrobić. Nikt nie chciał ryzykować zbliżenia się do Grimmy, bo wszystko mogło się zdarzyć. Zamiast się wyplakać w klapę, mogła, dajmy na to, ugryźć albo przynajmniej tak nawymyślać, że nom by się w buty nie zmieścił.

Dorcas przyjrzał się tej statycznej scenie, westchnął i zsunął się ze stojącego na śniegu krzesła. Pokuśtykał do Grimmy, łapiąc się dla równowagi gałęzi.

— Znalazłaś nas, teraz wracamy do kamieniołomu i wszystko będzie w porządku — powiedział pocieszająco.

— Nie będzie! — chlipnęła. — Wszyscy musimy się wynosić z kamieniołomu! Wszystko poszło na opak, lepiej byłoby dla ciebie, jakbyś został w norze.

— Cóż, nie powiedziałbym. . .

— Nie mamy żywności, ludzi nie udało się powstrzymać, jesteśmy w pułapce, w jaką zmienili kamieniołom! Próbowałam zjednoczyć nomy i wszystko spartaczyłam.

— Powinniśmy od razu przenieść się do tej stodoły — bąknęła Nooty.

— Wy nadal możecie. — Grimma powoli się uspokajała. — Młodzi zdają i powinni jak najszybciej wynieść się jak najdalej od kamieniołomu.

— Ale dzieci i starzy nie zdołają przejść tam w śniegu — zauważył spokojnie Dorcas. — Wiesz o tym równie dobrze jak ja, więc nie ma o czym mówić. Nie oszukuj się. I przestań desperować!

— Wszystkiego próbowaliśmy i robi się tylko coraz gorzej! Myśleliśmy, że na zewnątrz będzie spokojnie i zaczniemy nowe życie, a tymczasem wszystko się sypie w rękach!

Dorcas spojrział na nią przeciągle, ale się nie odezwał.

— Możemy równie dobrze przestać się męczyć — dodała Grimma. — Możemy się poddać i umrzeć tu i teraz!

Zapadła pełna przerażenia cisza.

— Ehm — odchrząknął Dorcas. — Jesteś tego pewna? Jesteś tego naprawdę pewna?

Coś w jego głosie spowodowało, że uniosła głowę.

Wszyscy wpatrywali się w górę.

Na spoglądającego w dół — na nich — lisa.

Była to jedna z chwil, w których czas zamiera. Grimma wyraźnie widziała zielonkawożółte błyski w ślepiach lisa, jego oddech przypominający obłok pary i widoczny w otwartej paszczy czerwony jęzor.

Lis ogólnie wyglądał na zaskoczonego.

Rzeczywiście był nowy w okolicy i nomy zobaczył po raz pierwszy w życiu. Lisi umysł nie jest szczególnie wyrafinowany, toteż miał spory problem z pojęciem pewnej sprzeczności. Otóż kształty stworzeń, jakie miał przed sobą — dwie nogi, dwie ręce i głowa na górze — kojarzyły mu się z ludźmi, których nauczył się omijać, za to wielkość była jak najbardziej odpowiednia na przekąskę.

Nomy z kolei przerażenie wmurowało w podłoże. Ucieczka nie miała sensu, jako że lis miał dwa razy więcej nóg, żeby gonić, toteż tak czy owak kończyło się jako nieboszczyk, tyle że zasapany.

Rozległo się warknięcie.

Ku zaskoczeniu wszystkich warczała Grimma.

Nim ktokolwiek zdążył się odezwać, Grimma zabrała Babce Morkie laskę, podeszła do lisa i rąbnęła go nią na odlew w nos. Lis pisnął i zamrugał zaskoczony.

— Won! — wrzasnęła Grimma. — Już cię tu nie ma!

I trzasnęła go ponownie. Lis cofnął łeb, Grimma dała krok do przodu i trafiła go trzeci raz, tym razem z półobrotu.

Lis podjął decyzję — wśród krzaków pełno było króliczych nor, dalej, ale bezpieczniej. Jeszcze nie spotkał królika, który lałby go po nosie. Króliki były stanowczo przyjemniejszą perspektywą. Lis fuknął, cofnął się na wszelki wypadek, nie spuszczać wzroku z Grimmy, i skoczył w mrok.

— No! — wykrztusił Dorcas.

— Przepraszam, ale nie cierpię lisów — wyjaśniła Grimma. — No i Masklin zawsze powtarzał, że trzeba im pokazać, kto tu rządzi.

— Przecież nic nie mówię — dodał pospiesznie Dorcas.

Grimma spojrzała z pewnym zdziwieniem na laskę i spytała:

— O czym to ja mówiłam?

— Że możemy się poddać i zginąć tu i teraz — przypomniała jej Babka Mor-
kie.

— O tym nie mówiłam! — warknęła z naciskiem Grimma. — Po prostu by-
łam trochę zmęczona. Chodźcie, jak tu dłużej będziemy sterczeć, nabawimy się
zapalenia płuc.

— Albo i czego innego — dodał Sacco, wciąż wpatrujący się w ciemność,
w której zniknął lis.

* * *

Wysoko w górze jasna gwiazda zaczęła się poruszać zygzakami po niebie.
Jak na gwiazdę, była mała, albo być może była duża, ale daleko. Jakby ktoś się
jej dokładniej przyjrzał, zauważyłby, że ma kształt dysku. Była także powodem
naglego ożywienia łączności radiowej na całym świecie, ale tego akurat nie było
widać gołym okiem.

Wyglądało na to, że gwiazda czegoś szuka.

* * *

Gdy dotarli do kamieniołomu, trafili akurat na zakończenie przygotowań do
wymarszu następnej ekipy ratunkowej, która miała zamiar szukać poprzedniej,
czyli ich. Przyznać należy, że robiono to bez entuzjazmu, ale robiono.

Nastroje od razu się poprawiły, ledwie do wszystkich dotarło, że nikt nigdzie
nie musi wychodzić, a wszyscy wreszcie są bezpieczni. Przez chwilę nawet Grim-
ma zapomniiała, że wrócili bezpiecznie, ale do generalnie niezbyt bezpiecznego
miejsca. Pasowało to do czegoś, co niedawno czytała. Jeśli dobrze pamiętała, to
pasującym określeniem było „z deszczu pod rynnę”.

W milczeniu wysłuchiwała przerywanej przez innych relacji Sacca, opisującej,
co się z nimi stało od momentu, w którym strach dodał Dorcasowi skrzydeł, dzięki
czemu zeskoczył z ciężarówki. Zdążyli znieść go z szyn tuż przed zderzeniem.
Brzmiało to ekscytująco i odważnie. I nieco bez sensu, ale tego Grimma wołała
nikomu nie mówić.

— W sumie nie było to aż takie straszne — zakończył Sacco. — Owszem,
ciężarówka została poważnie uszkodzona, ale pociąg nawet nie zjechał z szyn.
A tak w ogóle to umieram z głodu. — I uśmiechnął się promiennie.

Uśmiech zniknął niczym zachodzące słońce wobec braku reakcji pozostałych.

— Nie mamy jedzenia? — spytał na wszelki wypadek.

— Jakbyś miał chleb, to moglibyśmy zrobić kanapkę ze śniegiem — poinformował go najbliższy siedzący słuchacz.

Sacco przemyślał propozycję.

— Króliki — oświadczył. — Na polu są króliki.

— Ciemno też jest — dodał Dorcas znacząco.

— Jest — przyznał Sacco.

— Jest też lis — zauważyła Nooty.

— Gdzieś tam jest — ponownie przyznał Sacco.

Grimmie przyszło do głowy kolejne powiedzenie, toteż je zacytowała:

— Jak się kto spieszy, to się diabeł cieszy.

Pozostali spojrzeli na nią zaskoczeni.

— Co to jest „diabeł”? — spytała po chwili milczenia Nooty.

— Coś przerażającego, żyjącego pod ziemią w strasznie gorącym miejscu — odparła Grimma. — Albo raczej ktoś.

— W takiej, dajmy na to, kotłowni?

— Można tak powiedzieć.

— A dlaczego on się cieszy, jak się inni spieszą?

— Pewnie dlatego, że jest złośliwy: w pośpiechu często robi się różne głupoty — wyjaśniła Grimma.

— Aha.

I znów zapadła cisza.

Dorcas odchrząknął. Widać było, że coś go irytuje i to zdecydowanie bardziej niż pozostałych, co już samo w sobie było sporym osiągnięciem, gdyż wszyscy byli mocno poirytowani.

— No dobrze — oznajmił cicho, ale zdecydowanie.

Zebrani spojrzeli nań.

— Lepiej, jak wszyscy ze mną pójdziecie — dodał. — Wolałbym, żebyście nie musieli, ale lepiej będzie, jak pójdziecie.

— Dokąd? — zainteresowała się Grimma.

— Do szop po drugiej stronie. Tych przy zbroczu.

— Przecież są zawałone! A poza tym ciągle powtarzałeś, że tam jest niebezpiecznie.

— Bo jest. Są tam sterty złomu i takie różne w puszkach, których lepiej nie dotykać, i takie tam... — urwał, nerwowo gładząc brodę — ale... tam jest jeszcze coś. Coś, nad czym pracowałem, w pewnym sensie, znaczy się... Coś mojego. Najcudowniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem, nawet lepsza od tych żab w kwiatku.

I spojrzął wymownie na Grimme.

A potem odkaslnął nerwowo i dokończył:

— Tam jest dużo miejsca, choć nie ma podłogi. Ale za to jest cała masa kryjówek.

Głośniejsze niż zwykle chrapnięcie człowieka wstrząsnęło pomieszczeniem.

— Poza tym nie lubię być w jego pobliżu — zakończył Dorcas.

Spotkało się to z ogólną aprobatą.

— Tak na marginesie, zastanowiliście się, co z nim zrobić? — zainteresował się Dorcas.

— Była propozycja, żeby go utrucić, ale nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł — odparła Grimma. — Myślę, że to by mocno zirytowało innych ludzi.

— W dodatku nie wydaje się najwłaściwszym posunięciem — zauważył Dorcas.

— Też tak sądzę.

— Więc... co z nim zrobimy?

Grimma ponownie przyjrzała się wielkiej twarzy leżącego. Wszystko w niej było wielkie — każdy włos czy por skóry. Z drugiej strony, przyszło jej do głowy coś dziwnego — gdyby istnieli ludzie mniejsi od nomów, no, powiedzmy, wielkości mrówek, to jej własna twarz mogłaby według nich podobnie wyglądać. Jak się do sprawy podchodziło filozoficznie, to wszystko sprowadzało się jedynie do kwestii wielkości.

— Zostawimy go — zdecydowała — ale, zaraz... jest tu jakaś czysta kartka papieru?

— Na biurku leży cała masa — poinformowała ją Nooty.

— To ściągnijcie choćby jedną, dobrze? Dorcas, zawsze masz przy sobie coś do pisania, prawda?

Dorcas pogrzebał po kieszeniach i w końcu znalazł kawałek grafitu.

— Tylko go nie zmarnuj — poprosił. — Nie wiadomo, czy kiedykolwiek dostanę drugi.

Nooty wróciła po chwili, ciągnąc za sobą pożąłkłą kartkę. Na górze grubymi czarnymi literami napisano: BLACKBURY SAND AND GRAYEL PLC, pod spodem, drobniejszymi: Rachunek.

Grimma zastanowiła się, polizała grafit i zaczęła pisać drukowanymi literami.

— Co robisz? — spytał zaintrygowany Dorcas.

— Próbuję się z nim skomunikować — odparła, uważnie stawiając kolejną literę.

— Zawsze mi się wydawało, że warto spróbować — mruknął Dorcas. — Jesteś pewna, że to właściwa chwila?

— Tak — odparła zdecydowanie, kończąc ostatnie słowo. — I co o tym sądzisz?

Dorcas starannie schował grafit i przyjrzał się jej rękodziełu. Litery były nieco koślawe, a gramatyka mogła pozostawiać wiele do życzenia, jako że pisania nie

opanovała tak dobrze jak czytania, ale sens był jasny. I powinien być jasny nawet dla człowieka.

— Ująłbym to inaczej — ocenił po przeczytaniu.

— Pewnie byś ujął — zgodziła się Grimma. — Ale ja tak napisałam i tak zostaje.

— Ano. — Dorcas przekrzywił głowę. — Komunikat to jest, bez dwóch zdań! Więc trudno byłoby go nie zrozumieć.

— To jedno mamy załatwione — ucieszyła się Grimma. — Teraz chodźmy obejrzyć twoje szopy czy inne baraki.

Dwie minuty później pomieszczenie opustoszało. Pozostał jedynie chrapiący na podłodze człowiek z wyciągniętą przed siebie ręką.

W ręku miał kartkę.

Napisano na niej:

Blackbury Sand and Gravel PLC.

Rachunek.

MOGLI MY CIĘ ZABIĆ. ZOSTAW NAS W SPOKOJU.

* * *

Na zewnątrz zrobiło się prawie jasno. I śnieg przestał padać.

— Zobaczą nowe ślady — ostrzegł Sacco. — Nawet ślepy człowiek musi je zauważyć.

— To bez znaczenia — poinformował go Dorcas. — Doprowadź wszystkich do starych baraków.

— Jesteś pewien, że to dobry pomysł? — upewniła się Grimma.

— Nie.

Dołączyli do strumienia nomów przechodzących przez dziurę w ścianie z zardzewiałej blachy falistej. Za nią znajdowała się potężna, pobrzmiwająca echem pusta sala stanowiąca wnętrze metalowej szopy. Czas i rdza wyżarły imponujące dziury w ścianach i suficie, pod ścianami zaś starannie poustawiano puszki, tacki z gwoździemi, zwoje drutu, dziwne kawałki metalu i inne mechanicznie wyglądające przedmioty. Wszędzie też czuć było smar.

— O czym konkretnie mamy się dowiedzieć? — spytała Grimma, spoglądając na Dorcas.

Dorcas wskazał na cienie skrywające przeciwległy koniec pomieszczenia. Stało tam coś wielkiego i bezkształtnego.

— Wiesz, to wygląda na wielki kawał brezentu. . . — powiedziała niepewnie Grimma.

— Chodzi o to, co jest pod spodem. Czy są już wszyscy? — Ponieważ odpowiedziała mu cisza, Dorcas przyłożył dłoń do ust i wrzasnął: — Są już wszyscy?!

Tym razem odpowiedziało mu bezładne potakiwanie.

— Nooty, dopilnuj, żeby nikt się nie plątał pod nogami, dzieci były z rodzicami i nikt się niepotrzebnie nie wystraszył — zarządził Dorcas.

— Wystraszył, czego? — spytała Grimma, ale zostało to zignorowane.

— Sacco, weź paru chłopców i przynieście tu to, co rano schowaliście w krzakach przy płocie. Akumulator na pewno będzie nam potrzebny, a paliwo prawdopodobnie...

— Dorcas! — Grimma zdecydowała się na energiczniejsze działanie. — Co tam jest?!

Dorcas zachowywał się tak rzadko — za każdym razem, gdy myślał o tym, co można by usprawnić czy uruchomić w jakiejś maszynie, zmieniał mu się głos i zaczynał ignorować wszystko, co żywe. Tak było i tym razem.

Ostry ton przywołał go do przytomności, ale i tak spojrzał na Grimme, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

Potem zaś spojrzał na własne buty.

— Chyba lepiej będzie jak... hm, jak sama zobaczysz. Wydaje mi się, że będzie trzeba wyjaśnić wszystkim, w czym rzecz, a w tym jesteś zdecydowanie lepsza ode mnie.

Rada nierada poszła za nim przez pustą podłogę — nomów we wnętrzu było już całkiem dużo, ale wszyscy trzymali się skromnie pod ścianami.

Dorcas zaprowadził je w cień rzucany przez brezentową płachtę, pod którą znajdowało się coś w rodzaju przestronnej, pokrytej kurzem jaskini.

W mroku wyraźnie widać było ogromne koło przypominające koło ciężarówki, tyle że zdecydowanie bardziej pobrużdżone i kolczaste niż jakakolwiek opona, jaką w życiu widziała.

— Aha, ciężarówka — mruknęła nieco rozczarowana. — Co to za ciężarówka, Dorcas?

Ten zamiast odpowiedzi wskazał w górę.

Grimma spojrzała tam. I spoglądała tak przez długi czas. Prosto w pysk Jekuba.

Rozdział trzynasty

IV. I rzekł im Dorcas: „Oto jest Jekub, Bestia Wielka z zębami.”

V. „Wymuszają Odejdźcie nasze, tedy odejdziemy.”

Księga nomów, Jekub, w. IV-V

Czasami słowa nie oddają właściwie tego, co się widzi, i niezbędna jest muzyka. Niektóre książki na przykład powinny mieć ścieżki dźwiękowe, tak jak filmy.

To, na co patrzyła Grimma, najlepiej oddałaby muzyka organowa.

Coś w stylu:

Bam-bam-bam-BAM.

Grimma desperacko przekonywała samą siebie, że to, na co patrzy, nie może być żywe, w związku z czym nie może jej ugryźć. Dorcas by jej tu nie przyprowadził, gdyby było inaczej, toteż nie miała się czego bać. I w ogóle się nie boi. Jest w końcu istotą myślącą i nie boi się!

— Sądzę, że ma takie poszarpane koła, żeby lepiej trzymać się podłoża. — Głos Dorcasa dobiegał gdzieś z daleka. — Dokładnie sprawdziłem i tak naprawdę to on nie jest zepsuty, tylko bardzo, bardzo stary. . .

Spojrzenie Grimmy przesunęło się po masywnej żółtej szyi.

Muzyka w jej głowie rozbrzmiała głośniejsze.

Bam-bam-bam-BAM!!

— Tak sobie pomyślałem, że można go uruchomić. Te diesle są w sumie proste, a w jednej książce jest nawet rysunek. Nie jestem tylko pewien tych wszystkich rurek, zdaje się, że nazywają się hydraulika. Tu na półce leży „Instrukcja obsługi” i tak, jak tam pisało, naoliwiłem to wszystko i wyczyściłem.

BAM-BAM-BAM-BAM!

— Ludzie pewnie zakładali, że tu wrócą, i dlatego go tu zostawili. Obejrzałem sobie wszystkie urządzenia sterujące i zdaje mi się, że kieruje się nim prościej niż ciężarówką. Naturalnie są te dodatkowe dzwignie do hydrauliki, ale jeśli wystarczy paliwa, nie powinno to być problemem, ale. . . — Dorcas nagle umilkł, zdając sobie sprawę, że Grimma od dłuższej chwili jest dziwnie milcząca, spytał więc: — Co ci się stało?

— Co to jest?

— Przecież ci mówię. Jest fascynujący. Widzisz, te rurki pompują coś, co porusza te części i te tłoki, przez co ramię z...

— Nie pytałam cię, co to robi! — przerwała mu Grimma. — Pytałam, co to jest.

— A co, nie powiedziałem ci? — spytał niewinnie Dorcas. — Imię ma wymalowane na przodzie. O tam, zobacz.

Popatrzyła i zmarszczyła brwi.

— J... C... B... — przeczytała. — Jeb? Jekub? Przecież tam nie ma ani jednej samogłoski! Co to za imię bez samogłosek?!

— Nie wiem, mnie się podoba. Poza tym brzmi właściwie. Chodź, jeszcze coś ci pokażę.

Grimma poszła za nim jak we śnie i stanęła, gdy on stanął.

— O — wskazał Dorcas. — Nie muszę ci chyba tłumaczyć, co to jest?

— O! — powtórzyła za nim Grimma, podnosząc dłoń do ust.

— Tak też sobie myślałem — ucieszył się Dorcas. — Jak go pierwszy raz znalazłem, pomyślałem sobie, że to jakaś odmiana ciężarówka. Potem doszedłem tutaj i zobaczyłem, że jest to ciężarówka z...

— Zębami — dokończyła cicho Grimma. — Z wielkimi metalowymi zębami. Bum-BUM.

— Działa? — spytała po chwili.

— Powinien. Sprawdziłem, co mogłem, i kieruje się nim tak samo jak ciężarówką, tyle że ma masę dodatkowych dźwigni i...

— Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałeś?!

— Nie wiem — przyznał uczciwie Dorcas. — Pewnie dlatego, że nie musiałem.

— Przecież... przecież on jest wielki! Nie można zachować tylko dla siebie czegoś tak wielkiego.

— Dlaczego? Każdy musi mieć coś swojego, może być marzenie. Wielkość nie ma znaczenia. Ważne jest, że jest tak... tak doskonały. — Dorcas poklepał pobrużdżoną oponę. — Kiedyś powiedziałaś, że ludzie myślą, że ktoś zrobił ten świat w tydzień, pamiętasz? Pomyślałem sobie, że jakby miał dużo takich jak Jekub, to mogłoby mu się udać... — Urwał, zamyślił się i dodał po chwili: — Najpierw musimy zdjąć z niego brezent. Jest ciężki, więc będzie do tego potrzeba kupy chłopów... Lepiej, żebyś ich uprzedziła. Jak się go pierwszy raz widzi, może napędzić strachu.

— Ani trochę mnie nie przestraszył!

— No — mruknął Dorcas. — Obserwowałem twoją minę...

* * *

Zebrani spoglądali wyczekująco na Grimnię.

— Musicie pamiętać, że jest to tylko maszyna. Taka odmiana ciężarówka — powtórzyła na wszelki wypadek. — Jak ją zobaczycie, możecie się przestraszyć, więc nie puszczajcie dzieciaków, żeby im się nic nie stało. I jak brezent zacznie się już zsuwać, to nie stójcie i nie gapcie się, tylko pobiegnijcie pod ścianę.

Dały się słyszeć bezładne potakiwania.

— Zaczynamy — zakomenderowała. — Łapcie!

Sześćset nomów splunęło w garście i złapało za brzeg brezentowej płachty.

— Jak powiem: ciągnąć, to macie ciągnąć — przypomniała Grimma. — To jest do siebie! Uwaga... Ciągnąć!

Zmarszczki na płachcie wygładziły się.

— Ciągnąć!

Brezent poruszył się. Zrazu wolno, potem szybciej, aż pod wpływem własnego ciężaru zmienił się w zielonkawą lawinę.

— W nogi!

Góra sztywnej materii znieruchomiła na podłodze. Nikt nie zwrócił na nią żadnej uwagi, gdyż słońce wpadające przez brudne i pełne pajęczyn okna oświetliło Jekuba, wypełniając wnętrze baraku żółtym blaskiem.

Rozległy się pełne przerażenia wrzaski, matki złapały dzieci i dało się zauważyć bezładne parcie ku drzwiom i innym dziurom w ścianach. Po cichu Grimma się temu nie dziwiła: od przodu faktycznie wyglądało to niczym masywny łeb na grubej szyi, a z tyłu w dodatku miał drugi, mniejszy, za to na dłuższej szyi. Ogólnie robił wrażenie.

— Mówiłam, że to tylko maszyna! — ryknęła ile sił w płucach. — Patrzenie: nawet się nie rusza!

— Hej! — ponad ogólny gwar przebiły się jeszcze dwa okrzyki gdzieś z góry.

Nooty i Sacco wspięli się na przedni łeb Jekuba i stali tam, machając radośnie. To przeważało — fala paniki dotarła do ścian i zamarła. Każdy czułby się głupio, uciekając przed czymś, co nie goni. Tym razem też tak było — najpierw się zawahali, potem zatrzymali, a po chwili wolno, nieco zakłopotani wrócili.

— Proszę, proszę! — Babka Morkie jako jedna z nielicznych nie uciekała, teraz zaś spokojnie podeszła do Grimmy. — To oni tak wyglądali... zawsze się zastanawiałem.

Grimma spojrzała na nią niezbyt przytomnie.

— Kto tak wyglądał? — spytała oszołomiona.

— Wielcy kopacze. Gdy się urodziłam, już ich nie było, ale tata jeszcze ich widywał. Mówił, że są wielkie, żółte i mają zęby, którymi gryzą ziemię. Zawsze sądziłam, że sobie ze mnie żartuje.

Ponieważ Jekub jak dotąd nie zdradzał skłonności do zjedzenia kogokolwiek, bardziej awanturniczo nastawieni zaczęli się doń zbliżać albo w sporadycznych przypadkach nań wspinać.

— To było wtedy, kiedy budowano autostradę — dodała Babka Morkie, wspierając się na lasce. — Tata mówił, że pełno ich było w okolicy. Wielkie, żółte, na kołach i z zębami.

Grimma przyglądała się jej z niedowierzaniem — w końcu wbrew najśmielszym oczekiwaniom Babka Morkie miała jednak coś ciekawego do opowiedzenia. I prawdziwego. A co najdziwniejsze, nikogo to na razie nie zdołało wprawić w przygnębienie.

— Byli też inni albo inne, bo maszyny to one, nie? — Babka Morkie bynajmniej nie czekała na odpowiedź. — Takie, co spychały ziemię na przemy. I robiły inne rzeczy. To było gdzieś z piętnaście lat temu. . . Nigdy nie sądziłam, że jakąś jeszcze zobaczę.

— Chcesz powiedzieć, że drogi zostały zrobione? — spytała Grimma.

Jekub oblepiony był młodzieżą. W kabinie pełno było entuzjastów, którym Dorcas zawzięcie tłumaczył zastosowanie poszczególnych dźwigni.

— Pewnie, że zbudowane — odparła zdziwiona Babka Morkie. — Chyba nie myślałaś, że same się zrobiły? Jak wzgórze albo lasy.

— No nie, naturalnie, że nie. Skądże — zapewniła czym prędzej Grimma.

Przyszło jej do głowy, że mimo wszystko Dorcas może mieć rację — może świat został jednak zrobiony, tylko nie od razu, ale po kawałku: to wcześniej, tamto później. Na początek chmury i wzgórze, potem drogi i Sklepy. Może zadaniem ludzi było właśnie zrobienie go do końca i wciąż jeszcze tego zadania nie wykonali. Dlatego tak lubili maszyny i ciągle ich używali. Gurder zrozumiałby to lepiej. Gdyby już wrócił.

Wtedy Masklin też byłby z powrotem.

Spróbowała skupić się na czymś innym.

Opony Jekuba. . . ich kształt i nierówności wskazywały, że nie potrzebują drogi, by pewnie jechać — oczywiście, że nie potrzebują. Jekub robi drogi, więc nie musi ich potrzebować do jazdy. Żeby móc robić drogi, musiał jeździć tam, gdzie ich jeszcze nie zrobił.

Uspokojona, przepchnęła się przez tłum na tył kabiny, gdzie już mocowano deskę na wskazanym przez Dorcasa miejscu. Sam Dorcas robił, co mógł, by usłyszano go w ogólnym zamieszaniu.

— Naprawdę zamierzasz stąd na nim wyjechać? — upewniła się na wszelki wypadek.

Dorcas uśmiechnął się radośnie.

— Zamierzam. A raczej mam nadzieję, że się uda. Sądzę, że mamy jakąś godzinę, zanim pojawią się w kamieniołomie inni ludzie, a on specjalnie się nie różni od ciężarówki. W kierowaniu, ma się rozumieć.

— Wiemy jak! — zawtórował mu któryś z pomocników. — Mój tata wszystko mi opowiedział o sznurach, dźwigniach i wszystkim.

Grimma rozejrzała się po kabinie — czego jak czego, ale dźwigni w niej nie brakowało. Od Długiej Jazdy minęło ponad pół roku, a mechanika nie była tym, co by ją specjalnie interesowało, ale z tego, co pamiętała, kabina ciężarówki była mniej zatłoczona. Były tam jakieś pedały i dźwignie, ale w znacznie mniejszej liczbie. Aha, no i była jeszcze kierownica.

— Jesteś pewien, że to się uda? — spytała powątpiewająco.

— Nie. Sama wiesz, że nigdy niczego nie jestem pewien. Większość dźwigni kontroluje jego pys. . . tego, koparkę. . . no, to z zębami z przodu i z tyłu. Nimi nie musimy się martwić, bo niczego nie będziemy kopać. Są zresztą zadziwiająco proste, wystarczy. . .

— A gdzie się wszyscy zmieszczą? — Grimma przerwała mu zdecydowanie. — Tu nie ma skrzyni jak w tamtej ciężarówce.

Dorcas wymownie wzruszył ramionami:

— Starsi mogą jechać w kabinie, młodszy muszą się zaczepić, gdzie zdołają. Przymocujemy, gdzie się tylko da, przewody i inne zaczepy dla rąk. W dodatku będziemy jechać w dzień, więc będzie wszystko widać i nie będziemy się spieszyć. Naprawdę nie musisz się martwić.

— I wszyscy spokojnie dotrzemy do stodoły — dokończyła entuzjastycznie Nooty. — A tam będzie ciepło i będzie masa jedzenia!

— Mam nadzieję — bąknął Dorcas. — Teraz zabieramy się do roboty, bo czasu zostało niewiele. Gdzie Sacco z akumulatorem?!

Grimma co prawda nie bardzo wiedziała, skąd Nooty przyszło do głowy, że w stodole będzie dużo jedzenia, ale wołała się nie odzywać. Angalo mówił jedynie o cebuli i ziemniakach, co trudno było nazwać ucztą. . . Jej żołądek okazał w tym momencie samodzielność, głośnym burczeniem wyrażając własne zdanie. Cóż, to była długa noc, a kanapek nie było aż tak wiele. . .

Poza tym i tak nie mogli tu zostać, a wszędzie będzie lepiej niż tu.

— Mogę w czymś pomóc, Dorcas? — spytała na wszelki wypadek.

Dorcas omal nie usiadł z wrażenia.

— Możesz. . . możesz przeczytać instrukcję — wykrztusił. — Tam. . . tam jest napisane, jak nim kierować.

— A co, nie wiesz?

— Oczywiście, że wiem! W ogólnych zarysach. A czasami szczegóły bywają kłopotliwe. Sama wiesz. . .

Książka leżała pod ławką przy jednej ze ścian. Grimma postawiła ją, oparła o ścianę i spróbowała się skoncentrować, ignorując hałas i zamieszanie. Miała mocne podejrzenie, że Dorcas znalazł jedyny skuteczny sposób, by się jej pozbyć, a instrukcję zna na pamięć, ale wołała się nie odzywać. To była wielka chwila Dorcasa i należało mu się pełne uznanie.

Nomy kręciły się jak opętane, a sytuacja była zbyt zła, by marnować czas na narzekania. Zabawne, ale właśnie w takiej sytuacji pracowali znacznie skuteczniej — razem i bez kłótni. Wtedy zakasywano rękawy i brano się na serio do roboty, gdy sytuacja stawała się naprawdę beznadziejna. Był to swoisty paradoks, podobnie jak ów słynny znak z „Kodeksu drogowego”, który twierdził, że droga działa, podczas gdy w praktyce zamiast drogi była dziura, o czym przekonali się podczas Długiej Jazdy.

Grimma wzruszyła ramionami i skoncentrowała się na lekturze.

Na kolejnej stronie, gdy już ją ze sporym trudem przewróciła, ujrzała duże brązowe koło — ślad po filizance, którą kiedyś musiał tam postawić człowiek.

Za nią powoli przesunął się po podłodze akumulator, ciągnięty i pchany przez grupę nomów. Dla ułatwienia sobie zadania toczyli go na zardzewiałych kulkach od łożysk.

Po akumulatorze przemaszerowały puszki z paliwem.

Grimma tymczasem wpatrywała się w rysunek przedstawiający ponumerowane dźwignie. . .

Mimo wszystko wciąż nie mogła wyjść z podziwu: nagle wszystkim zaczęło się spieszyć do stodoły.

Nagle, kiedy sytuacja nie była po prostu zła, ale zgoła parszywa, wszyscy mieli dobre humory i nikt się nikogo nie czepiał ani o nic nie obwiniał. Masklin odkrył to wcześniej, ale ona dopiero teraz zrozumiała w pełni, o co mu chodziło, gdy mówił, że zadziwia go, do czego nomy są zdolne, jeśli znajdzie się na nie właściwy sposób.

Przyjrzała się ponownie rysunkowi ponumerowanych dźwigni, próbując sobie wmówić, że w gruncie rzeczy jest interesujący, gdy coś zaczęło jej świtać. . .

* * *

Różowe niebo w większości przesłaniały chmury. Grimma gdzieś czytała, że czerwone niebo uszczęśliwi tych, co mieli owce. Albo unieszczęśliwi. Albo w ogóle chodziło o krowy.

Człowiek w pokoju obudził się, zaryczał i spróbował wyrwać się z pajęczyny krępujących go przewodów. Po sporym wysiłku i prawie dziesięciu minutach udało mu się uwolnić jedną rękę. To, co potem zrobił, zdumiałoby niepomiernie nomy, gdyby któryś go obserwował. Złapał mianowicie krzesło i po zdrowej porcji akrobacji, którym towarzyszyły basowe pomruki, zdołał je przewrócić. Następnie przyciągnął je do siebie, wsunął jedną nogę pod płataninę drutów i pociągnął ku górze.

Minutę później już siedział, zdejmując z siebie resztki uwięzi.

I wtedy zauważył leżącą na podłodze kartkę.

Przypatrywał się jej przez długą chwilę, mocno rozcierając nadgarstki, wreszcie złapał za telefon.

* * *

Dorcas w zamyśleniu pociągnął za przewód.

— A na pewno akumulator jest dobrze podłączony? — spytał nieśmiało Sacco.

— Jeszcze potrafię rozróżnić czerwony przewód od czarnego — odparł łagodnie Dorcas, szturchając inny przewód.

— To może w akumulatorze jest za mało elektryczności — wyraziła przypuszczenie Grimma, próbując zajrzeć ponad ich ramionami. — Może opadła na dno albo wyschła. . .

Dorcas i Sacco spojrzeli po sobie z podziwem.

— Prąd elektryczny nie tonie — wytłumaczył jej cierpliwie Dorcas. — Z tego co wiem, także nie wysycha. Po prostu albo gdzieś jest, albo go nie ma. Przepraszam. . . — Ponownie zajrzał w labirynt przewodów, pociągnął któryś i tym razem coś pstryknęło i przeskoczyła błękitna iskra. — Prąd to tu jest — oświadczył. — Tylko nie tam, gdzie powinien.

Grimma wróciła pod przeciwległą ścianę, gdzie czekało kilkaset nomów podzielonych na grupy. Część przy sznurach przymocowanych do kierownicy, inni przy deskach położonych lub dociśniętych do pedałów, a jeszcze inni przy dźwigniach.

— Chwilowa zwłoka — poinformowała ich ponuro.- Prąd nam się zgubił.

Poznaczona śladami po smarach podłoga pełna była nomów — kabina była zbyt mała, by wszystkich pomieścić, toteż cały Jekub zdawał się nimi oblepiony. Wyglądali inaczej niż podczas Długiej Jazdy — wtedy, choć w pośpiechu opuszczali Sklep, zdołali zabrać ze sobą różności. Mieli całą skrzynię ładunku i byli pulchni i dobrze odziani. Teraz byli chudzi, twardsi i brudniejsi, a zabierali ze sobą jedynie to, co mieli na grzbiecie — nawet książki musiały zostać. Tuzin książek zajmował tyle miejsca co trzy tuziny nomów i choć Grimma uważała, że większość książek jest użyteczniejsza od większości nomów, nie rozgłaszała tego i zaakceptowała obietnicę Dorcasa, że wrócą przy pierwszej okazji i spróbują odzyskać je ze skrytki pod podłogą.

W każdym razie naprawdę próbowali — przybyli tu, by żyć samodzielnie i właściwie. I nie udało im się. Sądzieli, że ze Sklepu zabrali wszystko, co będą potrzebować, tymczasem zabrali całą masę niepotrzebnych rzeczy, a nie wzięli wielu przydatnych. Nauczyli się przynajmniej, że tym razem muszą się oddalić od ludzi tak bardzo, jak to tylko możliwe. Grimma w cichości ducha była jednak przekonana, że nigdzie nie będzie wystarczająco daleko.

Wspięła się na prowizoryczną platformę kierowniczą, czyli na deskę przymocowaną do bocznych ścian kabiny. Obecni spojrzeli na nią wyczekująco. Pocie-

szające było to, że bez trudu można było stąd widzieć drogę i zespoły na podłodze, a te zespoły z kolei bez trudu widziały ją. Eliminowało to całe zamieszanie z sygnalizacją czy sznurkiem, czego musieli używać po opuszczeniu Sklepu.

— Spróbujcie teraz! — dotarł do niej stłumiony głos Dorcasa.

Coś szcęknęło.

Potem zawirowało.

A potem Jekub ryknął.

Dźwięk odbił się od metalowych ścian, wprawiając je w drzenie. Był tak głęboki i głośny, że właściwie nie był dźwiękiem, ale zjawiskiem, które najpierw powodowało stwardnienie powietrza, a potem nim waliło. Kto mógł, padał płasko i próbował się czegoś złapać na dygoczącej podłodze kabiny.

Grimma zatkała uszy. Zobaczyła Dorcasa gnającego slalomem między leżącymi i dziko machającymi nomami. Zespół przy pedale gazu spojrział na niego zgodnie niczym ucieleśnienie niewinności, ale przestał napierać na deskę.

Grzmot zamienił się w głęboki pomruk, który co prawda wciąż przenikał do szpiku kości, ale nie próbował ani przewrócić, ani rozsadzić głowy. Dorcas zawrócił i wspiął się na platformę, często przy tym przystając dla złapania oddechu. Gdy dotarł na górę, siadł ciężko i otarł czoło.

— Jestem na to za stary — oświadczył. — Jak się osiąga pewien wiek, powinno się przestać kraść wielkie pojazdy, taka jest brutalna prawda. A tak w ogóle to działa całkiem dobrze. Możesz nas stąd zabrać?

— Co? Sama?! — zdziwiła się Grimma.

— A dlaczego nie?

— No... myślałam, że Sacco albo ktoś będzie tu i... — Urwała, zła sama na siebie: odruchowo pozostawiła kierowanie komuś w spodniach tylko dlatego, że je nosił.

— Mieliby na to wielką ochotę! — parsknął Dorcas. — Ba, kochaliby to! Wypadlibyśmy stąd jak wariaci i gnali przed siebie, nie wiadomo gdzie. Żadnych takich! Chcę spokojnie i miło przejechać przez pola. Właściwe określenie to: łagodnie. I nie nerwowo. — Pochylił się nieco i wrzasnął w dół: — Wszyscy gotowi?!

Odpowiedział mu nerwowy chórek przytaknięć.

— Właśnie mi przyszło do głowy, że Sacco jako szef zespołu przy pedale może nie być najlepszą kandydaturą... — mruknął Dorcas i wstał. — Dobra. Przypadkiem nie jesteś przestraszona?

— Kto? Ja?! Skądże. To nie jest żaden problem.

— No, to ruszamy!

Zapadła cisza przerwana jedynie pomrukiem silnika.

Grimma skupiła się wewnętrznie.

Gdyby Masklin tu był, nadawałby się do kierowania znacznie lepiej niż ona. Albo Angalo. Albo choćby Gurder... a tymczasem nikt nawet już o nich nie

wspominał. Nomy musiały się tego nauczyć dawno temu, w miejscu pełnym lisów i innych możliwości niemiłej śmierci: jak ktoś zaginie, to należy przestać o nim myśleć, bo inaczej nie miałoby się czasu na myślenie o czymkolwiek innym. Tyle tylko że ona nie potrafiła przestać o nim myśleć. . .

Dorcas objął ją delikatnie, widząc, że drży.

— Powinniśmy byli wysłać grupę na lotnisko — wymamrotała. — Okazali-
byśmy, że się martwimy i . . .

— Nie mieliśmy czasu, a potem nie mieliśmy głowy — powiedział łagodnie. — Kiedy wrócą, wyjaśnimy im to. Masklin zrozumie.

— Tak — szepnęła.

— No to teraz — Dorcas odsunął się o krok — w drogę!

Grimma odetchnęła głęboko i zakomenderowała głośno.

— Pierwszy bieg i powoli naprzód!

Zespoły ożyły, ciągnąc, pchając i przesuwając każdy swoje. Jekubem lekko wstrząsnęło, silnik zmienił ton i maszyna szarpnęła do przodu. I stanęła. Silnik parsknął i umilkł.

Dorcas uporczywie studiował własne paznokcie, mrużąc:

— Ręcznyhamulecręcznyhamulecręcznyhamulec.

Grimma przyjrzała mu się średnio życzliwie i ryknęła:

— Spuścić ręczny hamulec! Teraz jeszcze raz pierwszy bieg i powoli naprzód!

Coś szcęknęło i . . . cisza.

— Odpalsilnikodpalsilnikodpalsilnik — wymruczał Dorcas, gapiąc się przed siebie.

Tym razem Grimma przyjrzała mu się całkiem niezyczliwie.

— Ustawcie wszystko w pozycjach wyjściowych i odpalcie silnik! — krzyknęła. — Wszystko tak, jak było, zanim zaczęliśmy!

— Ręczny hamulec zaciągnąć czy zostawić? — rozległ się z dołu głos Nooty, dowodzącej zespołem ręcznego hamulca.

— Co?

— Nie powiedziałaś, co zrobić z ręcznym hamulcem — wyjaśnił uprzejmie Sacco.

Otoczające go nomy zaczęły uśmiechać się szeroko.

Grimma pogroziła mu palcem.

— Jak będę musiała tam zejść i wytłumaczyć wszystkim razem i każdemu z osobna, co ma zrobić z hamulcem, to gorzko tego pożałujecie! — ostrzegła. — Teraz przestańcie chichotać i robić z siebie idiotów, a weźcie się do roboty! Nie mamy całego dnia, żeby stąd wyjechać!

Na dole coś kliknęło, Jekub ryknął, tyle że znacznie ciszej niż za pierwszym razem, i powoli ruszył do przodu.

Rozległy się wiwaty.

— No! — pochwaliła Grimma. — Tak już lepiej!

— Drzwidrzwizrzwi — wymamrotał Dorcas. — Nie otworzyliśmy drzwi!
— Pewnie, że nie otworzyliśmy, bo i po co? — zdziwiła się Grimmer. — Przecież to Jekub!

Rozdział czternasty

V. „I powiadam wam, że na naszej drodze nie stanie nic, albowiem jest tu Jekub, który śmieje się z Płotów i Barrier wszelakich.”

Księga nomów, Jekub, w. I

To była bardzo stara szopa.

I mocno zniszczona.

Kołysała się przy silnym wietrze, a jedyną w miarę nową rzeczą była kłódka na drzwiach, w które Jekub uderzył z prędkością jakichś sześciu mil na godzinę. Szopa zadźwięczała jak gong, oderwała się od fundamentów i została dociągnięta prawie do połowy kamieniołomu, zanim rozpadła się w kłębie rdzy i dymu. Z tego kłębu wynurzył się Jekub na podobieństwo ciężko wkurzonego kurczaka wypadającego z bardzo starego, pancernego jajka.

I stanął.

Grimma pozbierała się i nerwowo otrzepała z rdzy.

— Staaliśmy — zauważyła po chwili, gdyż w głowie wciąż jej huczało. — Dlaczego staaliśmy, Dorcas?

Minęła dłuższa chwila, nim Dorcas odpowiedział, ponieważ łomot, z jakim wydostali się na zewnątrz, skutecznie pozbawił go oddechu.

— Bo nikt nie ustał na nogach, jak sędzę — wyjaśnił w końcu. — Dlaczego jechaliśmy tak szybko?

— Trochę się nie zrozumieliśmy! — zawołał z dołu Sacco. — Przepraszamy.

Grimma w tym czasie zdołała dojść do siebie.

— Nie szkodzi — rzekła. — Wyjechaliśmy na zewnątrz i to się liczy. Chyba zaczynam nabierać w tym wprawy. Teraz powinniśmy... powinniśmy... powin... ..

I zamilkła.

Dorcas uniósł się i wyjrzał przez przedmą szybę.

Drogę do bramy tarasowała ciężarówka, od której ku nim biegło pięciu ludzi w typowy, powolny sposób.

— O rany! — jęknął.

— Nie umieją czytać czy co?! — zdziwiła się Grimma. — Może on nie przeczytał mojej wiadomości?

— Obawiam się, że właśnie przeczytał — sprzeciwił się Dorcas. — Nie ma powodów do paniki! Mamy dwie możliwości i możemy...

— Jechać naprzód! — ucieszyła się Grimma. — I to natychmiast!

— Nie to chciałem zaproponować...

— Pierwszy bieg! — poleciła tymczasem głośno Grimma. — I gaz do dechy!

— Nie — sprzeciwił się słabo Dorcas. — Sama tego nie chcesz zrobić...

— A założymy się?! Ostrzegłam ich: umieją czytać, wiemy, że umieją! Jeśli naprawdę są inteligentni, to powinni zdawać sobie sprawę z konsekwencji!

Jekub ruszył szybko, nabierając prędkości.

— Nie możesz tego zrobić! — jęknął Dorcas. — Zawsze trzymaliśmy się z dala od ludzi!

— I to był nasz błąd: oni nie trzymają się z dala od nas! — odrzyknęła.

— Ale...

— Zniszczyli Sklep, próbowali nas zatrzymać, teraz zabierają nam kamieniom i nawet nie zdają sobie sprawy, że tu jesteśmy! Pamiętasz Dział Ogrodniczy? Te upiorne figury w ogródku? Teraz zobaczą, jak wyglądają prawdziwe nomy!

— Nie pokonamy ludzi! — Dorcas musiał krzyczeć, by przebić się przez odgłos silnika. — Są za duzi! A my za mali!

— Mogą sobie być. Może i jestem mała, ale to ja mam wielką, żółtą, zębatą ciężarówkę! — wyjaśniła mu Grimma i krzyknęła w dół: — Trzymać się, czego kto może! Będzie trzęsło!

Tymczasem nawet powolni ludzie zrozumieli, że coś jest nie tak — zaprzestali skaczącej szarży i powoli próbowali odskoczyć z drogi. Dwóm udało się wpaść do pustego baraku, obok którego przetoczył się chwilę później Jekub.

— Pewnie myślą, że jesteśmy głupi! — warknęła Grimma. — No, to zobaczymy! Skręt w lewo... Jeszcze... Jeszcze... Dobrze! Stop!

— Co ty zamierzasz zrobić? — spytał słabo Dorcas, widząc, że dziewczyna zaciera rękę.

Zamiast odpowiedzi Grimma wychyliła się poza krawędź deski i spytała:

— Sacco, widzisz te dźwignie tam?

* * *

W drzwiach baraku pojawiły się blade i okrągłe ludzkie twarze.

Jekub stał sobie cicho, mrużąc silnikiem, ze dwadzieścia jardów dalej, spowity w poranną mgłę. Nagle silnik ryknął, a masywna łyżka przedniej koparki uniosła się, błyskając w słońcu...

Jekub skoczył nagle do przodu, odbił się od jakiegoś głazu i spadł na cztery koła, otwierając przy okazji jedną ze ścian baraku niczym puszkę. Pozostałe ściany wraz z dachem złożyły się ładnie niczym domek z kart.

Maszyna zatoczyła ciasne koło, toteż gdy obaj ludzie wyczołgali się z ruiny, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, była uniesiona łyżka koparki gotowa do akcji.

Zgodnie rzucili się do ucieczki.

I biegli prawie tak szybko jak nomy.

* * *

— Zawsze chciałam zrobić coś takiego! — oświadczyła z satysfakcją Grimma. — A ten trzeci gdzie?

— Chyba z powrotem w ciężarówce. — Dorcas otarł pot z czoła.

— Doskonale — ucieszyła się Grimma. — Sacco, mocno w prawo... stop. Teraz naprzód, powoli!

— Nie możemy już przestać i po prostu odjechać? — spytał Dorcas.

— Ciężarówka zagradza nam drogę: dokładnie zasłania bramę.

— W takim razie jesteśmy w pułapce — westchnął z rezygnacją Dorcas.

Grimma roześmiała się. Nie był to wesoły śmiech i Dorcasowi nagle zrobiło się żal ludzi. Prawie tak jak siebie.

Ludzie musieli też się poważnie zastanawiać, jeżeli w ogóle myśleli, ma się rozumieć. Widać było, że uważnie obserwują Jekuba. Pewnie zachodzili w głowę, kto nim kieruje, bo w kabinie nie było żadnego człowieka. A przecież maszyna sama z siebie nie mogła wyczyniać tych wszystkich skomplikowanych ewolucji. Jak na ludzi, był to zdecydowanie poważny problem. I powód do ciężkiego wysiłku umysłowego.

Doszli do czegoś jednak znacznie szybciej, niż Dorcas się po nich spodziewał: nagle drzwiczki kabiny ciężarówki otworzyły się na obie strony i ludzie wyskoczyli z szoferki akurat w chwili, gdy Jekub...

Coś łomotnęło, zgrzytnęło i ciężarówką zatrzęsło, gdy Jekub w nią uderzył. Wielkie koła o grubym bieżniku obracały się przez chwilę w miejscu, po czym ciężarówka z łoskotem przewróciła się, wypuszczając chmurę pary.

— To za Nisodemusa! — mruknęła mściwie Grimma.

— Przecież go nie lubiłaś.

— Ale był nomem!

Dorcas skinął głową — w końcu wszyscy byli nomami, tylko nie zawsze o tym pamiętali.

— Proponuję zmienić bieg — powiedział cicho.

— A co złego dzieje się z tym, który mamy?

— Na wyższym biegu będzie się lepiej pchało. Możesz mi zaufać.

* * *

Ludzie patrzyli oniemiała.

I trudno im się było dziwić — nie sposób nie gapić się na maszynę budowlaną najwyraźniej jeżdżącą samodzielnie. I równie samodzielnie demolującą różne rzeczy. Nie sposób się nie gapić, nawet jeśli się trzeba wspiąć na drzewo albo schować za płot, żeby także nie zostać zdemolowanym.

Wyraźnie więc widzieli, jak Jekub cofnął się, zmienił ze zgrzytem biegi i z rykiem ponownie zaatakował ciężarówkę.

Tym razem pierwsze z brzękiem prysnęły szyby.

* * *

Dorcas był naprawdę nieszczęśliwy.

— Zabijasz ciężarówkę!

— Nie wygłupiaj się, przecież to tylko maszyna! — zdziwiła się Grimma. — Jedynie połączone ze sobą kawałki metalu.

— Tak, ale ktoś je połączył. Musi być strasznie trudno zrobić taką ciężarówkę, a ja nienawidzę niszczyć rzeczy, które są trudne do zrobienia.

— Przejechała Nisodemusa — przypomniała Grimma. — Co prawda nie ta, ale taka sama. A kiedy żyliśmy w dziurze, samochody często rozjeżdżały nomy na autostradzie.

— Może i często, ale nomy nie są takie trudne do zrobienia. Wystarczą do tego inne nomy.

— Dziwny jesteś.

Jekub uderzył ponownie. Z hukiem pękł jeden z reflektorów ciężarówki. Dorcas skrzywił się boleśnie.

Coś w ciężarówce zgrzytnęło i nagle została odepchnięta, dając wolny przejazd do bramy. Spod maski walił gęsty dym — najwidoczniej rozlane paliwo znalazło się na gorącym silniku. Jekub cofnął się i powoli objechał wrak. Coraz płynniej nim kierowali, co Dorcasowi sprawiło sporą przyjemność.

— W prawo... i prosto naprzód — poleciła Grimma i spytała Dorcasa: — Teraz poszukamy tej stodoły?

— Jedź drogą, jeśli się nie mylę, to będzie odbicie w pole. A na pewno będzie brama... nie wydaje mi się, żebyś miała ochotę stawać i czekać, aż ją otworzymy?

Za nimi ciężarówka się zapaliła. Nie wybuchła malowniczo, ale spokojnie i rzetelnie zapłonęła, jakby miała zamiar palić się przez cały dzień. We wstecznym lusterku Dorcas zauważył człowieka, który zerwał z siebie płaszcz i machał nim bez sensu nad płomieniami. Zrobiło mu się żal ciężarówki.

Jekub zaś, nie napotykając na opór, toczył się w dół drogi. Z podłogi dały się słyszeć chóralne śpiewy poszczególnych zespołów.

— Gdzie ta brama? — zaniepokoiła się Grimma. — Mówiłeś, że jest brama na pole i...

— Bo jest — przerwał jej Dorcas. — Tuż przed tym samochodem z błyskającymi światłami na dachu, który właśnie jedzie nam na spotkanie.

Oboje ponuro przyrzekli się samochodowi.

— Auta z błyskającymi światłami na górze oznaczają kłopoty — odezwała się proroczo Grimma.

— Masz całkowitą rację — zgodził się Dorcas. — Często są pełne poważnych i ciekawskich jak nie wiem co ludzi. Na dole, przy torze, była ich cała masa.

Grimma spojrzała wzdłuż płotu.

— To ta brama? — spytała.

— Ta.

— Zwolnić i ostro w prawo! — krzyknęła na dół.

Na podłodze zapanowało ożywienie — Sacco nawet zmienił bieg bez pytania, a liny obracające kierownicę prawie zagrały.

Rzeczywiście od drogi odchodził zarośnięty zjazd prowadzący do bramy i dalej w pole. Brama to zresztą było szumne określenie — ot, zwykła konstrukcja z drewna i drutu, przymocowana do słupków sznurkiem, zgodnie z rolniczą modą. Całość nie zdołałaby powstrzymać zdeterminowanego lisa, wobec Jekuba zaś nie miała żadnych szans.

Dorcas ponownie się skrzywił — łamać różnych rzeczy też nie lubił.

Przejechali przez bramę praktycznie bez wstrząsu.

Za nią rozpościerało się pole brązowej ziemi. Falistej ziemi, jak ją określały nomy. Nazwa wzięta się od falistej blachy, jaką można było dostać w Dziale Żelaznotowarowym w Sklepie. Teraz w zagłębieniach ziemi leżał śnieg, który koła Jekuba błyskawicznie przerabiały na błoto.

Dorcas podświadomie spodziewał się, że auto ze światłem na dachu pojedzie za nimi, ale stanęło przy bramie. Wysiadło z niego dwoje ludzi w granatowych ubraniach i rzuciło się biegiem przez pole, zataczając się na nierównościach. Ludzie byli jak pogoda — nie dało się ich powstrzymać.

Pole zaczęło się wznosić — znajdowało się na stoku wzgórza, wewnątrz którego był kamieniołom. Przed maską pojawiło się ogrodzenie z drutu, a za nim porośnięta trawą łąka. Drut pękł z głośnym hukiem i zwinął się na obie strony. Dorcas odruchowo pożałował, że nie mają czasu, by stanąć i zebrać go trochę. Dobry drut zawsze się na coś przyda.

Ludzie wciąż gonili ich na piechotę, ale Dorcas dostrzegł kątem oka więcej błyskających świateł na szosie. Kątem oka, gdyż wokół było stanowczo zbyt dużo Zewnątrz, jak na jego wytrzymałość. Światła co prawda były daleko, ale i tak wskazał je Grimmie.

— Wiem, widziałam — westchnęła zdesperowana. — A co mogliśmy zrobić? Życ w kwiatkach, jak na grzeczne krasnoludki przystało?!

— Nie wiem. — W głosie Dorcasa słychać było zmęczenie. — Niczego już nie jestem pewien.

Brzęknęło kolejne ogrodzenie z drutu, gdy Jekub przez nie przejechał. Trawa tam była niższa, grunt pochyły...

A potem nie było już nic oprócz nieba i podskoków, gdy koła Jekuba odbiły się od jakiejś nierówności na szczycie wzgórza. Dorcas nigdy w życiu nie widział tyle nieba. Wokół było tylko niebo. I cisza. No, to znaczy nie całkiem cisza, gdyż silnik Jekuba ryczał jak zwykle, ale gdyby nie ryczał, miejsce pełne byłoby jedynie ciszy.

A tak — pełne było ryku i zdesperowanych nomów gnających w dół z boczka wraz z Jekubem.

Spod kół w ostatnim momencie prysnęła przerażona owca.

— Widać stodołę! To ten kamienny budynek na hory... — Grimma urwała nagle i dodała zupełnie innym tonem: — Dobrze się czujesz, Dorcas?

— Jak długo mam zamknięte oczy — odszepnął słabo.

— Wyglądasz strasznie.

— Czuję się gorzej.

— Przecież wielokrotnie byłeś już na zewnątrz.

— Przestań się zgrywać! Jesteśmy najwyżsi w okolicy. Przez wiele mil wokoło nie ma nic wyższego. Jak otworzę oczy, to spadnę w niebo!

Grimma wzruszyła ramionami i skoncentrowała się na kierowaniu:

— Lekko w prawo!... Dobrze! A teraz cały gaz, jaki macie! — Ryk silnika spotęźniał, toteż ryknęła do Dorcasa: — Złap się czegoś, bo jeszcze polecimy!

Podskoczyli, wjeżdżając na kamienisty trakt prowadzący w kierunku stodoły, ale wstrząs był mniejszy, niż się Dorcas spodziewał, toteż zaryzykował otwarcie jednego oka. W stodole w końcu nigdy nie był i interesowało go, skąd wszyscy mieli pewność, że jest tam jedzenie. W każdym razie powinno być ciepło.

Zamiast stodoły zobaczył zbliżające się, błyskające światło.

— Dlaczego nas, do cholery, nie zostawia w spokoju?! — zdenerwowała się Grimma. — Stop!

Jekub stanął, warcząc basowo silnikiem.

— To musi prowadzić w dół, do szosy. — Dorcas zaryzykował otwarcie oczu.

— Nie możemy zawrócić — oceniła Grimma.

— Nie możemy.

— Naprzód też nie możemy jechać.

— Nie.

Grimma postukała nerwowo palcami w metalową obudowę kabiny.

— Masz jakiś pomysł? — spytała w końcu.

— Możemy spróbować przejechać przez pola — zaproponował Dorcas.

— I dokąd dojedziemy?

— Odjedziemy stąd, a to już jakiś początek.

— Ale nie będziemy wiedzieli, gdzie jedziemy!
— Albo to, albo malowanie kwiatków. — Dorcas wzruszył ramionami.
Spróbowała się uśmiechnąć, ale nie była to udana próba.
— Nie lubię skrzydełek — stwierdziła rzeczowo.
— Co się dzieje?! — ryknął z dołu Sacco.
— Powinniśmy im powiedzieć — szepnęła Grimma konspiracyjnie. — Wszyscy myślą, że jedziemy do stodoły. . .

Rozejrzała się wokół — samochód ze światłem był bliżej, ciężko podskakując na nierównościach terenu. Z przeciwnej strony zbliżało się dwoje ludzi w niebieskich ubraniach, choć wolno i byli jeszcze daleko.

— Czy ludzie nigdy się nie poddają? — mruknęła sama do siebie i przechyliła się za krawędź deski. — Sacco, lekko w lewo, a potem prosto naprzód!

Jekub zjechał z brukowanej drogi i podskakując nieco, potoczył się po trawie. Z przodu było kolejne ogrodzenie z drutu i kilka owiec.

Zaczęła się jazda w nieznaną — teraz ważne było nie to, aby gdzieś dojechać, ale aby jechać. Przeszło jej przez myśl, że Masklin miał rację — to naprawdę nie był ich świat.

— Może powinniśmy porozmawiać z ludźmi — zastanowiła się głośno.

— Nie mamy o czym. Miałaś rację: w tym świecie wszystko do nich należy, chcieliby, żebyśmy i my należeli. I w efekcie nie mielibyśmy już w ogóle miejsca na to, żeby być sobą.

Ogrodzenie znacznie się przybliżyło, a za nim ukazała się droga, i to nie jakaś tam dróżka w pole, ale uczciwa szosa z czarną nawierzchnią.

— Jak myślisz: w prawo czy w lewo? — spytała Grimma.

— To bez znaczenia. — Dorcas wzruszył ramionami, gdy rozległ się brzdęk pękającego drutu.

— W takim razie spróbujemy w lewo! Sacco, w lewo... bardziej... bardziej... dobrze, wyprostuj i gazu!... Och, tylko nie to!

Daleko w przodzie widać było kolejny samochód z błyskającym światłem na dachu.

Dorcas spojrział w lusterko.

Było tam kolejne błyskające światło.

— Nie! — oświadczył.

— Co: nie?

— Przed chwilą pytałaś, czy ludzie nigdy nie rezygnują. Odpowiedź brzmi: nie rezygnują.

— Stop! — poleciła niespodziewanie.

Zespoły na podłodze zrobiły, co do nich należało, i po chwili Jekub łagodnie stanął, pomrukując silnikiem.

— I to by było na tyle — podsumował Dorcas.

— Już jesteśmy w stodole? — zainteresowano się z dołu.

— Jeszcze nie! — odkrzyknęła Grimma. — Niewiele nam brakuje, ale jeszcze nie.

Dorcas popatrzył na nią ponuro.

— Na dobrą sprawę możemy już się z tym pogodzić — stwierdził z rezygnacją. — Skończysz, malując kwiatki, a ja, naprawiając buty.

— Jeśli pojedziemy najszybciej, jak się da, prosto na ten samochód jadący z przeciwną... .

— To nic nie da: będą następne. To niczego nie rozwiąże.

— Ale znacznie poprawi moje samopoczucie! — warknęła, rozglądając się z namysłem po otaczającym ich krajobrazie. — Dlaczego nagle się ściemnia? Przecież nie jeździmy cały dzień, a zaczęliśmy wcześniej rano... .

— Podobno czas ucieka, gdy się go spędza przyjemnie — odparł ponuro Dorcas. — A poza tym nie cierpię mleka. Mogę im sprzątać, jeśli nie będę musiał pić tego paskudztwa, ale nie na odwrót i... .

— Mógłbyś przestać marzyć, a zacząć patrzeć?

Faktycznie, na pole w szybkim tempie nasuwał się mrok.

— To może być elipsa — zaryzykował Dorcas. — Czytałem gdzieś o nich. Jak słońce zakrywa księżyc, to robi się ciemno i to się nazywa elipsa. Prawdopodobnie w drugą stronę też działa.

Sądząc po głosie, było mu jednak znacznie trudniej uwierzyć, żeby księżyc, zasłaniając słońce, także przestawał świecić.

Nadjeżdżający samochód zahamował nagle z piskiem, zarzucił, uderzył tyłem w kamienny murek i znieruchomiał w poprzek drogi.

Owce, dotąd spokojnie pasące się na przydrożnym polu, nagle rzuciły się do ucieczki i nie była to zwyczajna panika przestraszonych owiec. Gnały z opuszczonymi łbami zupełnie zdecydowane, że nie czas marnować energię na panikowanie, skoro można ją zużyć na oddalenie się stąd z największą możliwą szybkością.

Powietrze wypełniło głośnie i nieprzyjemne buczenie.

— No, no — mruknął słabo Dorcas. — Mocna rzecz taka elipsa!

W dole nomy w przeciwieństwie do owiec zaczęły panikować. Od owiec różniło je głównie to, że każdy potrafił myśleć i działać samodzielnie, a jak się myśli o nagłym mroku w ciągu dnia, któremu towarzyszą tajemnicze buczenia, to panikowanie wydaje się logicznym pomysłem.

Poobijany, żółty kadłub Jekuba ni z tego, ni z owego spowiły nagle pełzające linie błękitnego ognia i trzaskające wyładowania elektryczne. Dorcas wyraźnie poczuł, jak włosy stają mu dęba.

Grimma spojrzała w górę.

Niebo było całkowicie czarne.

— Wszystko... w... porządku... — powiedziała powoli. — Wiesz: myślę, że wszystko jest w porządku!

Dorcas spojrział najpierw na nią, potem na własne palce, między którymi przeskakiwały iskry.

— Naprawdę? — wykrztusił.

— To nie noc, tylko cień! Nad nami unosi się coś wielkiego!

— I to ma być lepsze od nocy, tak?

— Tak sędzę. Nie ma na co czekać, wsiadamy! — zdecydowała Grimma i zsunęła się po linie na podłogę.

Uśmiechała się przy tym jak obłąkana. Było to dla pozostałych prawie równie przerażające jak wszystko inne — nikt nie miał ochoty przyzwyczajać się do radośnie uśmiechniętej Grimmy.

— Pomóżcie mi zejść — poleciła. — I sami też wychodźcie. Musi być pewien, że to my.

Spojrzeli na nią w sposób ostatnio zarezerwowany dla Nisodemusa.

— Ogłuchliście?! — zirytowała się, szarpiąc bezskutecznie deskę używaną jako trap. — Pomożecie mi czy nie?!

Pomogli.

Czasami, gdy się jest totalnie ogłupionym, słucha się każdego, kto zdaje się mieć jakiś konkretny cel. Opuścili deskę, tak by jednym końcem opierała się o ziemię, drugim o podłogę kabiny, i zaczęli po niej schodzić.

Na szczęście nieba nie zostało wiele — jedynie cienki błękitny pasek wokół solidnej ciemności nad głowami. No, nie tak całkiem solidnej — Dorcas, gdy mu oczy przywykły do półmroku, dostrzegł w niej bez trudu kwadrat, koła i prostokąty.

Ci, którzy zeszli zaraz za Grimma, skupili się na drodze. Stali lub wędrowali bez celu, nie wiedząc, czy lepiej zostać i poczekać, czy od razu uciekać. Ponad nimi jeden z prostokątów odsunął się, coś dźwięknęło i prostokąt ciemności opadł powoli i majestatycznie niczym winda, ale pozbawiona kabli. Wylądował łagodnie na drodze i okazało się, że jest całkiem duży.

Na samym jego środku coś stało.

Było czerwone, żółte i zielone. I stało w wazonie.

Wszyscy wokół wyciągali szyje i wyteżali wzrok, by dostrzec, co to takiego.

Rozdział piętnasty

I. I tako Podróż Jekuba dobiegła końca, nomy zasię wędrowały dalej, nie oglądając się przy tym.

Księga nomów, Dziwne żaby, w. I

Dorcas powoli zszedł na zaplamioną podłogę Jekuba. Jeśli nie liczyć plam, lin i desek, była ona całkowicie pusta. Słuchając coraz głośniejszego gwaru dochodzącego z zewnątrz, stwierdził, że bracia nomy tym razem się nie zachowali, zostawiając po sobie śmietnik co się zowie. Stary, biedny Jekub zasłużył na lepsze traktowanie.

Zamieszanie rosnące na zewnątrz niewiele go, prawdę mówiąc, obchodziło.

Pokręcił się trochę wokoło, próbując a to związać linę, a to poukładać deski w jakąś sympatyczną kupkę, a to zetrzeć błotniste ślady stóp na podłodze. Pomimo wyłączzonego silnika Jekub od czasu do czasu posykiwał, tykał, a nawet pingał.

W końcu Dorcas zrezygnował — siadł, opierając się plecami o żółtą ścianę. Nie wiedział, co się dzieje, i nie bardzo go to wzruszało — była tak daleko na zewnątrz wszystkiego, co dotąd widział, że umysł nie pozwalał mu się tym martwić. Uznał, że to pewnie jakaś maszyna do robienia nocy nagle spadła i stąd to zamieszanie.

Poklepał Jekuba po burcie.

— Dobra robota — pochwalił i zamilkł.

* * *

Sacco i Nooty znaleźli Dorcasa siedzącego z głową opartą o burzę i wpatrującego się tępo w podłogę.

— Wszyscy cię szukają! — ucieszył się Sacco. — To jak samolot bez skrzydeł! I tylko unosi się nad nami! Musisz go zobaczyć! Może ty się zorientujesz, jak on lata. . . Słuchaj, dobrze się czujesz?

— Hmm?

— Sacco cię pytał, czy się dobrze czujesz? — powtórzyła Nooty. — Wyglądasz dość dziwnie. . .

Dorcas powoli skinął głową.

— Dobrze — odparł wolno. — Tylko trochę zużyty.

— Ale potrzebujemy cię! — Sacco nie ustępował łatwo.

Dorcas jęknął i zaczął się zbierać na nogi. Tym razem nie protestował, gdy oboje mu w tym pomogli. Gdy wstał, rozejrzał się powoli.

— Naprawdę dobrze się spisał — powiedział. — Naprawdę dobrze... biorąc pod uwagę okoliczności. No i jego wiek.

I spróbował uśmiechnąć się radośnie, co mu się średnio udało.

— O czym ty gadasz? — zdziwił się Sacco.

— O tym całym czasie, jaki spędził w szopie w kamieniołomie. Od zrobienia świata minęła kupa lat, a ja go tylko przesmarowałem, dolałem paliwa i pojechał — wyjaśnił Dorcas.

— A, mówisz o tej żółtej maszynie drogowej — domyślił się w końcu Sacco.

— Ale... — Nooty wskazała w górę.

Dorcas wzruszył ramionami.

— Tym nie ma się co martwić, to pewnikiem sprawka Masklina. Grimma miała rację: to pewnie jest to coś latającego, czego pojechał szukać. Proste.

— Ale coś z tego wyszło — dodała Nooty.

— I to nie był Masklin? — zdziwił się Dorcas.

— Na pewno nie. Jakaś roślina.

Dorcas westchnął, pogodzony z tym, że nie będzie miał spokoju — świat już tak był widać urządzony, że ciągle coś się w nim działo. Poklepał ostatni raz Jekuba, wyprostował się i polecił:

— No dobrze, pokażcie mi to, co wyszło.

* * *

Na środku platformy unoszącej się nisko nad ziemią stał metalowy wazon. Żaden z otaczających platformę nomów nie wiedział, co o nim sądzić, podobnie jak o jego zawartości. Nikt poza Grimma, która przyglądała się wazonowi i jego zawartości z dziwnym i cichym uśmiechem.

Zawartością wazonu była gałąź, na której rósł pojedynczy kwiat wielkości wiadra.

Gdyby wspiąć się wystarczająco wysoko, można by zauważyć, że we wnętrzu błyszczących płatków znajdowało się minijeziorko. A z głębin wody wyglądały niewielkie, żółte żabki. I przyglądały się nomom.

— Dorcas, wiesz, co to jest? — spytał Sacco.

Dorcas uśmiechnął się, tym razem radośnie.

— Masklin w końcu się zorientował, że wysyłanie kwiatów dziewczynie to nie taki znowu zły pomysł. A sądząc po minie Grimmy, raczej całkiem dobry.

— Dobra, ale co to jest?

— Jeśli dobrze pamiętam, to bromelia albo jakoś tak. Rośnie na czubkach wysokich drzew w jakimś lesie strasznie daleko stąd. A te małe żabki całe życie w nich spędzają. Wyobraź sobie tylko: całe życie. Grimma kiedyś powiedziała, że uważa to za najbardziej zadziwiającą rzecz na świecie.

Sacco z namysłem przygryzł wargę.

— No, jest jeszcze prąd elektryczny — zaproponował. — Elektryczność jest całkiem zadziwiająca. . .

— Albo hydraulika — dodała Nooty, biorąc go za rękę. — Mówiłeś mi, że hydraulika jest fascynująca.

— Masklin musiał jej poszukać — ocenił Dorcas. — Czasami zbyt dosłownie traktuje pewne rzeczy, ale w sumie to całkiem niegłupi chłop.

I tak, przenosząc wzrok z kwiatu na Jekuba, który w cieniu olbrzymiego statku robił wrażenie małego i starego, poczuł się nagle dziwnie radośnie. Wciąż był tak zmęczony, że gotów był zasnąć na stojąco, ale w głowie już roiło mu się od nowych pomysłów. Najwięcej aktualnie miał pytań, ale odpowiedzi nie były w tej chwili najważniejsze — najważniejsze, że świat jest pełen zadziwiających rzeczy oraz to, że on sam nie jest żabą.

Albo przynajmniej jest taką odmianą żaby, którą interesuje, jak rosną kwiaty albo czy zdoła dotrzeć do innego kwiatu, jeśli skoczy wystarczająco mocno.

A jak już wydostał się ze swojego kwiatu, cały dumny i błady, odkrył wokół nowy, bezkresny świat i dopiero po długim czasie mógł się zorientować, że ten świat także ma na horyzoncie płatki. . .

Dorcas wyszczerzył się radośnie i powiedział:

— Naprawdę jestem ciekaw, co Masklin porabiał przez te kilka tygodni. . .